Biuletyn Z.W. PTTK w Łodzi

WĘDROWNIK

Rok XXXIV | Styczeń—luty 1989 | Nr I (319) 89

Na „wędrówce chochołowskiej" *fot. S. Krąckiewicz*

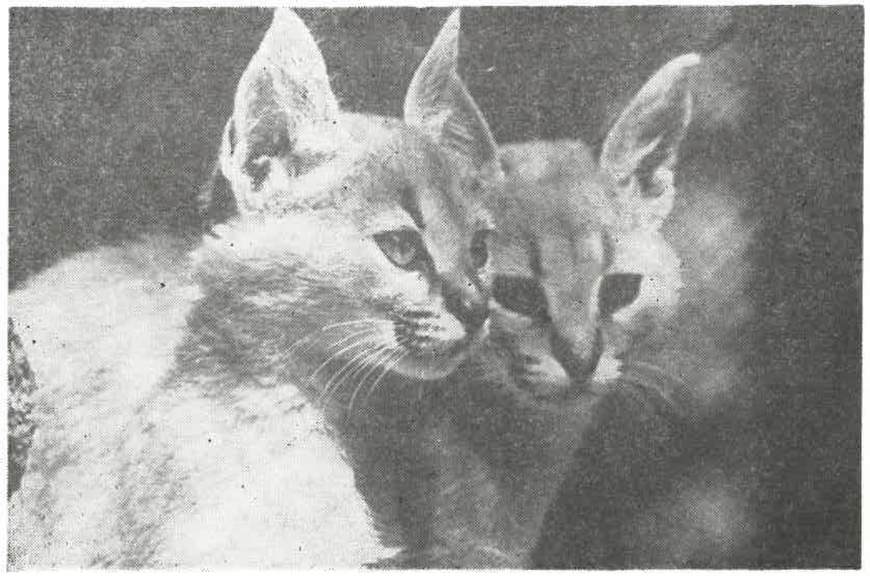

Młode karakale *repr. Ewa Dudaczyk*

SPIS TREŚCI nr I (319) 89

Jerzy Urbankiewicz — **Ci z Piotrkowskiej — cz. 9** 3

Lechosław Fularski — **80 lat krajoznawstwa i społecznej turystyki w Łodzi** . . . 7

Andrzej Sosnowski — **50 lat ZOO w Łodzi** 11

Grzegorz Ulman — **Nowe formy pracy z młodzieżą w Łódzkim Oddziale PTTK** . . 17

Władysław Manduk — **Kurs** 19

Zofia Keppe — **Ze wspomnień lekarza rajdowego** 28

Jacek Karczewski — **Wędrówki chochołowskie** 31

Spis treści Biuletyn ZG PTTK „WĘDROWNIK” za rok 1988. 35

BIULETYN PTTK „WĘDROWNIK” jest wspólnym organem Zarządu Wojewódzkiego, Oddziałów, Komisji, Klubów i Kół PTTK.

★

Wydaje Zarząd Wojewódzki PTTK w Łodzi.

★

Adres Redakcji: ul. Wigury 12a 90-301 Łódź, tel. 36-43-70

★

Redaguje Komitet w składzie: **Bohdan Bazyliński, Adam Chyżewski, Jacek K. Ciesielski** (Sekretarz Redakcji), **Zbigniew Lipowski, Maciej Mamiński, Leonard Matuszewski, Anna Pilarska** (Redaktor Naczelny) i **Stefan Zwierzyński** (Redaktor Techniczny)

★

Numer przygotowany z okazji 80-lecia powstania Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego — zamknięto w styczniu 1989 roku.

JERZY URBANKIEWICZ

Ci — z Piotrkowskiej 9

Gdyby z obrazu wydarzeń sierpniowych 1914 roku usunąć to, co było zgrozą, gwałtem i śmiercią, to dałoby się wypreparować komiczny obraz ucieczek i powrotów rosyjskiej władzy w mieście. Przygotowania do wojny zaczęły się od totalnej paniki. Poborowi mieli prawo darmowego przejazdu tramwajem,nadużywali więc tej przyjemności, skutecznie utrudniając wzmożone przejazdy ogarniętych strachem ludzi. Po raz pierwszy zanotowano wtedy w Łodzi problem „korków" ulicznych. Zostały spowodowane przez tysiące furmanek usiłujących przecisnąć się przez wąskie ulice w kierunkach zupełnie nie wytyczonych przez jakiś front czy inne nieszczęście. Miarą zdenerwowania była zawartość wozów. Ładowano na niezupełnie niepotrzebne rzeczy. Ktoś odnotował, że z gimnazjum przy ulicy Mikołajewskiej (czyli Sienkiewicza — III Liceum Ogólnokształcące) ewakuowano stosy starych zeszytów. A wraz z nimi — jak zanotował kronikarz — wywieziono dwa miliony ortograficznych błędów. Żandarmi palili archiwa w fabrycznej kotłowni, a monopol spirytusowy wypuścił posiadane zapasy do rynsztoków. Kto żyw, rzucił się z wiadrami po zaprawioną wprawdzie nieco, ale darmową wódkę. Widziano, jak miłośnicy mocnych trunków klękali na bruku i pili wprost ze ścieków.

Takie było grubymi kreskami nakreślone tło wydarzeń. Na tym tle prezydent Pieńkowski pakował kufry, a uwagę przechodniów przyciągało wywieszone na budynku Ratusza obwieszczenie, że „głównodowodzący armią rozkazał tłumić wszelkiego rodzaju nieporządki ogniem i mieczem bez litości" (zamieszczone też zostało na łamach dziennika „Rozwój" z 5 sierpnia 1914 roku). Ale wydźwięk tej pogróżki został złagodzony przez cara—batiuszkę, który zorientował się, że gdyby Polacy mu pomogli, to by mu się udało zagarnąć całą Polskę, a nie dwie trzecie, jak dotąd. Wyciągnął więc z dalekiego Petersburga i za pośrednictwem obwieszczeń i proklamacji zawołał: „Niechaj się zetrą granice dzielące Naród Polski. Niechaj Naród Polski połączy się w jedno ciało pod berłem cesarza rosyjskiego. Pod berłem tym odrodzi się Polska swobodna w swej wierze, języku, samorządzie". A nieco dalej: „Wierzy ona (tzn. Rosja), że nie zardzewiał miecz, który gromił wroga pod Grunwaldem". („Rozwój" z 17 sierpnia 1914 r.). Na ścianach i szpaltach eksponowano hasło: „Godzina wybiła!". Wkrótce mieli się tym hasłem posługiwać Niemcy, próbując upiec własną militarno-polityczną pieczeń. A godzina ... rzeczywiście wybiła i Polacy czynili przygotowania, by wygrać tę szansę. Rozwijały się działania na skalę ogólnopolską, a tu — wyrazem niezasypiania gruszek w popiele była odezwa następującej treści: „Grono obywateli w ciężkich warunkach, jakie w wyjątkowych okolicznościach dzisiejszych miasto nasze przeżywa, tworzy przy miejscowej straży ogniowej ochotniczej organizację w celu współdziałania z władzami w utrzymaniu wśród obywateli spokoju i bezpieczeństwa.

Organizacja ta w razie ewentualnych komplikacji spełniać będzie nadal swoje obowiązki, skierowane ku utrzymaniu w mieście porządku. Wobec tego ogół mieszkańców powinien zachować się spokojnie, nie denerwować się, nie szerzyć wśród obywateli popłochu, porządek bowiem i ład są na wszelki wypadek zagwarantowane. (M. Hertz, „Łódź w czasie wielkiej wojny", Łódź 1933 s. 8).

Oczywiście widocznych tu podkreśleń w tekście oryginalnym nie było. A warto im się przyjrzeć, bo podkreślone fragmenty śmieszą dziś oczywiście zawartego w nich sensu: w razie ucieczki Rosjan, władzę pełnić będzie „organizacja". W świetle tego również pojęcie „wszelkiego wypadku" jest zrozumiałe.

„Organizacja" przyjęła później nazwę Komitetu Obywatelskiego Niesienia Pomocy Bied-

nym a na jego czele stnaął Antoni Stamirowski. Tak więc — przy straży pożarnej, niesienie pomocy biednym — aby tylko nie drażnić olbrzyma na glinianych nogach, o którego nadchodzącym upadku społeczeństwo było głęboko przekonane. Jeżeli na tych stronicach zostały wyeksponowane pewne elementy groteski, zapamiętane przez kronikarzy, to można znaleźć dowody, że ówczesne społeczeństwo łódzkie dostrzegało rzeczy śmieszne w wydarzeniach, które były przecież brzemienne śmiercią i biedą. Na przykład inicjały nazwy Komitetu tworzyły kompozycję liter K.O.N.B.P. Dowcipne społeczeństwo zinterpretowało to: „Kon bez pokrycia". Taki dowcip z roku 1914 nie budzi dziś wybuchów śmiechu, choćby dlatego, że wymaga objaśnienia. W ówczesnej fazie, że tak powiem, kapitalizmu fabrykanci i kupcy pożyczali pieniądze, by je w coś zainwestować, na inwestycji zarobić i zwrócić. Pożyczone pieniądze musiały mieć „pokrycie". Na przykład w wartości fabryki, towaru, czy czegokolwiek innego, co zapewniało zwrot pożyczonej sumy. A Kon — to popularne nazwisko właściciela „Widzewskiej Manufaktury" — dziś zakłady 1 Maja. Ówczesna prasa pełna była dowcipów o podtekście gospodarczym. Oto próbka. Żona Rapaporta budzi się w nocy i narzeka: „Moryc, mnie jest niedobrze..." A komu dzisiaj jest dobrze, komu?"

Ale wróćmy do tematu. Nie do KONBP, bo ten pojawi się pod właściwym numerem ulicy Piotrkowskiej. A rezydenci Ratusza wciąż nam się mnożą i wymagają przypomnienia.

10-go sierpnia 40 pułk Niżegorodzkich Dragonów pobił jakiś oddział niemiecki, a dragoni „dla draki" ubrali się w „pickelhauby". Zobaczył ich z daleka wójt z Lućmierza i pchnął chłopaka kobyłą na oklep do Łodzi z wiadomością, że Niemcy nadciągają. Rosyjska policja, administracja i osobiście prezydent Pieńkowski uciekli z miasta. Tak więc głupie żarty 40-go Niżegorodzkiego pułku Dragonów sprawiły, że interesujący nas budynek, pierwszy i najważniejszy na Piotrkowskiej, opustoszał, dając łatwy dostęp duchom burmistrza Czarkowskiego, prezydenta Traegera i innych. Jedyną władzą w mieście stał się wtedy KON... Bez pokrycia. Nie dopuścił on ekscesów. Jednakże w międzyczasie gubernator Jaczewskij zażądał, od tych co niezbyt daleko uciekli, wyjaśnień, doszedł prawdy o wójcie i „pickelhaubach" i policja rosyjska wróciła do Łodzi. A więc jakiś żandarm zainstalował się w Ratuszu. Dowcipni łodzianie natychmiast puścili w obieg informację, że policja wróciła, by zainkasować zaległe łapówki. Dodatkowym przyczynkiem do charakterystyki ówczesnych łodzian niech będzie fakt, że kiedy w połowie sierpnia przeleciał nad miastem samolot, oznaczony żółtą i niebieską barwą, ktoś stojący w ogonku po chleb powiedział: „Zagląda partnerowi w karty. Trzeba przyznać, że to brzydko, panie dobrodzieju..." Nie był w stanie wyobrazić sobie, co będą wyrabiały samoloty dwadzieścia parę lat później.

20 sierpnia szwadron ułanów pruskich wjechał od strony ulicy Konstantynowskiej (Obrońców Stalingradu). Obejrzał Ratusz nie zsiadając z koni, przejechał stępem całą Piotrkowską i po Pabianickiej udał się na południe. Przed szwadronem kołysał się w siodle major Brauns, do niedawna podróżujący agent, tak zwany „reisender". Przyjeżdżał do Łodzi na przeszpiegi, więc teraz drogę znał. Natomiast za szwadronem, no, w przyzwoitej odległości, posuwał się... oddział dragonów rosyjskich. Może to nawet byli ci sami, co paradowali w Lućmierzu w „pickelhaubach". Mieszkańcy podglądali zza firanek, strzeli któryś, czy nie strzeli. I znów na kilka dni stanął przed ratuszem „stójkowy". Ale wieści z frontu nie wróżyły, że postoi tam długo i rzeczywiście, uciekł na wieść, że wróg zajmuje miasto. Na czele wrogiej armii przybył generał Liebert. Osadził zapewne w Ratuszu jakiegoś podkomendnego, sam urzędował w Grand Hotelu, a tak był pewien, że się stąd nie ruszy, że zapłacił fryzjerowi miesięczny abonament za opiekę nad generalską brodą i łysiną. Zanim abonament wyczerpał, pojawiła się w mieście grupka polskich Legionistów. Było ich pięciu. Zajęli miejsce błędów ortograficznych ewakuowanych z gimnazjum przy ulicy Mikołajewskiej i rozpoczęli werbunek do Wojska Polskiego. Komitet Obywatelski nie mieszał się do tych spraw. Na wszelki wypadek wolał nie narażać się Rosjanom. Może i miał rację, bo wrócili, nie licząc się z abonamentem generała Lieberta. Dopiero bitwa o Łódź, niszcząca ludzi i miasto między 19 listopada a 6 grudnia, zmieniła władzę na lat kilka. Nie tu miejsce na opis tej bitwy. Jeśli brali w niej c z y n n y udział Polacy, to tylko ci, których car lub cesarz wcielił siłą do którejś z dwóch wrogich nam armii. Z drugiej strony — jest to jedyna autentyczna bitwa autentycznie związana z Łodzią, a nawet próbowano bitwie tej przypisać znaczenie, do jakiego miasto nie pretendowało. Mianowicie generał von Ludendorf (późniejszy autor książki pod tytułem „Wojna totalna") miał powiedzieć: (cytat przytoczyła „Gazeta Łódzka" z 13 lutego 1916 roku za „Frankfurter Zeitung"):

„Nazwa Łódź na równi z nawą Tannenberg nigdy nie będzie zapomniany w historii wojen-

nej Niemiec. Bitwa łódzka jest kamieniem węgielnym dla nowego okresu wojny i stanowi — śmiało rzec można — p u n k t z w r o t n y w d z i e j a c h ś w i a t a". (podkreślenia — J.U.). Rzeczywistość była taka, że na Łódź sypały się pociski, a z punktu widzenia spraw opisywanych na tych stronicach za najważniejszą należy uznać tę bombę lotniczą, która eksplodowała przed Ratuszem, obnażając mury tej szacownej budowli do gołej cegły. Przy tej okazji zginęło dwóch żołnierzy a także został ranny „syndyk magistratu Pełka". No i — coś tam pękło w mającym już wartość historyczną zegarze.

Pierwszym władyką Łodzi po zmianie okupanta został generał Gerecke, hakatysta, satrapa, wyciskający z mieszkańców wszystko co się dało, do sienników włącznie. Dla niego istnienie Komitetu Obywatelskiego okazało się bardzo wygodne, potraktował go bowiem jak zespół roboczy do pełnienia żądań. Kiedy, po dwóch miesiącach, przenosił się na inną posadę, jego następca, polizei—praesident von Oppen zażądał, by Komitet Obywatelski wziął udział w wieczorze pożegnalnym i wyraził hakatyście Gerecke serdeczną wdzięczność za złodziejskie poczynania. Wyciągając właściwe wnioski z faktu, że obowiązywał stan wojenny, przewodniczący Komitetu, Antoni Stamirowski, na uroczystość przyszedł, ale przemówienie jego było majstersztykiem zdawkowości, z którego rozwścieczony Gerecke nie potrafił wyłowić ani jednego słowa uznania.

Gerecke i von Oppen pełnili funkcje policyjne. Natomiast kierownikiem administracji, nadburmistrzem został Niemiec, noszący nazwisko brzmiące w tych warunkach komicznie — Schoppen. Nie od rzeczy będzie przypomnienie w tym miejscu innego jeszcze bardziej zaskakującego zbiegu nazwisk. Około roku 1930 w budynku Ratusza umieszczono zbiory muzealne. W czasie tej drugiej okupacji, po 39 roku, opiekował się nimi, czy raczej je rozkradał, hitlerowiec nazwiskiem ... Matejko. Na szczęście imię Oswald wykluczało możliwość pomyłki. Nieszczęścia jakie przyniosła pierwsza wojna, tak się już od nas oddaliły w czasie, że można sobie pozwolić na pozostanie jeszcze przez chwilę przy tym, co wówczas, wbrew rzeczywistości, śmieszyło. Tenże von Oppen zorganizował policję. Rekrutowała się z miejscowych Niemców, a z braku broni palnej uzbrojona była w pałki. Stąd ich powszechnie przyjęta nazwa — pałkarze. Na czele stał „vorsteher" (w dosłownym tłumaczeniu: stojący z przodu). Tytuł ten ludność Łodzi przerobiła na „foksterier", co stanowi niewątpliwy dowód sympatii, jaką społeczeństwo otaczało von Oppena, jego funkcjonariuszy i wogóle nieproszonych przybyszy. Stanowisko takiego polizei—presidenta było zapewne bardzo wygodne, intratne i chroniło od frontu. Ale von Oppen przesadził i zgotował sobie dymisję, a może nawet skierowanie do miejsc, w których się strzela. Gnębił fabrykantów częstymi rekwizycjami i innymi ciężarami. W ten sposób nie tylko lud prosty, ale i fabrykanci mieli z nim na pieńku. W czerwcu 1916 roku zapowiedział swój przyjazd do Łodzi minister stanu dr Helferich. Przyjęcie miało mieć charakter uroczystego bankietu, na którym właśnie fabrykanci mieli go witać. Na wszelki wypadek von Oppen uprzedził ich, że nie mają prawa rozmawiać z dostojnikiem o sprawach drażliwych. Ale, obyci w sprawach bankietowo-politycznych, przyjęcie zbojkotowali. Za suto zastawionym stołem zasiedli — von Oppen i jego gość dr Helferich. Minister oczywiście się obraził i von Oppena zwolnił.

Następnym polizei—praesidentem został dr Löhrs, do zmiany zaś na tym stanowisku doszło w dniu 5 listopada 1916 roku, na krótko przed ogłoszeniem aktu proklamującego tak zwaną „niepodległość Królestwa Polskiego". Następstwem aktu była „ordynacja wyborcza do miast Generał-Gubernatorstwa" i wybory do rady miejskiej miasta Łodzi. A wydarzenie to zmieniło charakter wojennej administracji miasta, w następstwie czego kto inny zasiadł w fotelu prezydenckim.

Kolejna przymiarka stworzenia samorządu miejskiego, pomyślana przez zaborcę równie fałszywie jak poprzednie, miała swoje osobliwości, o których warto pomówić. Ordynację wyborczą ułożono w taki sposób, by dać jak najmniejsze szanse Polakom. Podzielono społeczeństwo na kurie. Do pierwszej należeli inteligenci, do drugiej przemysłowcy, do trzeciej rzemieślnicy i właściciele drobnych przedsiębiorstw, do ostatniej — robotnicy. Efekt tego podziału był taki, że jednego radnego wybierało 57 przemysłowców, albo — 1766 robotników. Zważywszy, że przemysł mieli w ręku Żydzi i Niemcy, a pracę fizyczną w fabrykach wykonywali Polacy, nie trzeba wielkiej wnikliwości, by zrozumieć sens ordynacji. O wyniku wyborów mogła w znacznym stopniu zadecydować postawa Żydów. W skali miasta była ona jednak życzliwa raczej dla Rosjan i Niemców. Pewien wpływ na umysły społeczności żydowskiej wywierali nieliczni jej przedstawiciele, lokalni patrioci, raczej Polacy pochodzenia żydowskiego, jak na przykład — Paweł Hertz, dr Marceli Barciński, przemysłowcy, Herman Kostadt oraz Heiman-Jareccy. Byli to ludzie zasiedzieli tu, w skali istnienia

miasta, od dawna. Większość natomiast przybyła z Rosji krótko przed wojną. Nazywano ich „litwakami". Rzecz ciekawa — poczynania „czarnej sotni", rosyjskie pogromy Żydów w niczym nie umniejszyły sympatii tych ludzi dla Rosji. Aby nie być gołosłownym żydowski dziennik „Hajnt" z 16 maja 1913 roku zamieścił wezwanie, by Żydzi nie jadali w piątek karpi, są one bowiem hodowane w Polsce. Żydzi, jak głosił dziennik, winni jeść ryby przywożone z Rosji. A to inne wydarzenie: 15 kwietnia 1912 roku odbyło się w Łodzi zebranie Towarzystwa Kredytowego, na którym postawiony został wniosek o przyznanie 30 tysięcy rubli na budowę polskiego teatru. Przeciwko wnioskowi wystąpili „litwacy" Joskowicz, Oberbaum i Mojrowicz oraz Niemiec Scholz. Wniosek upadł. Ilekroć car lub carowa przejeżdżali przez Łódź lub Koluszki, młodzież litwacka oczekiwała na dworcu z przygotowanymi na tę okazję podarkami i odbywało się wtedy to co prasa określała pochlebczym mianem „Najwyższego Oglądania". Każda zmiana na stanowisku policmajstra lub gubernatora łączyła się z wizytą delegacji litwackiej z rabinem na czele, wyrażającej radość z powodu przyjścia, lub żal i słowa uznania przy okazji odejścia. Przypomnienia powyższych łatwych do sprawdzenia faktów, nie należy traktować jako wyrazu krytyki ludności żydowskiej miasta. Ostatecznie każdemu wolno darzyć sympatią lub antypatią taki lub inny naród.

Ważne jest natomiast, że to miasto, zrodzone pod zaborem rosyjskim, cierpiące właśnie ucisk niemieckiej okupacji, skomplikowone narodowościowo i społecznie, wypowiedziało się w wyborach za polskością. Mandaty radnych uzyskało 27 Polaków, 25 Żydów i 8 Niemców. Co więcej — Koło Polskie wywalczyło sobie najważniejsze stanowiska w Radzie i prawo przemawiania po polsku. Ono też sprawiło, że burmistrz (później ten tytuł zmieniono na — nadburmistrza) wybrany został inżynier Leopold Skulski. I dotrwał na tym stanowisku do odzyskania Niepodległości.

c.d.n.

LECHOSŁAW FULARSKI

prezes Łódzkiego Oddziału PTTK

80 lat krajoznawstwa i społecznej turystyki w Łodzi

Przy wejściu do gmachu Wydziału Chemii Uniwersytetu Łódzkiego przy ul. Narutowicza 61 wmurowana jest tablica, na której wyryto słowa: „W tym budynku ówczesnej Szkoły Handlowej Zgromadzenia Kupców powstał Oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Łodzi — w 75 rocznicę Łódzki Oddział PTTK — marzec 1984 rok".

Nie przypadkowo właśnie tu odbyło się w dniu 7 marca 1909 r. organizacyjne spotkanie Łódzkiego Oddziału PTK. W gmachu tym mieściła się bowiem szkoła, która w grudniu 1905 r. uzyskała status szkoły polskiej. Stało się to w następstwie działań rewolucyjnych i strajku szkolnego, kiedy to młodzież między innymi i z tej szkoły, ze śpiewem pieśni patriotycznych i okrzykami anty carskimi na ustach, ruszyła na ulice Łodzi. Domagała się nauczania historii, geografii dawnych ziem polskich i przyrody, domagała się wprowadzenia języka polskiego jako wykładowego, czego zabraniali zaborcy.

W przygotowaniu strajku szkolnego, inspirowanego przez robotników, brali czynny udział przedstawiciele polskiej postępowej inteligencji łódzkiej. Stawała się ona od początku dwudziestego wieku liczniejsza i zaczęła przejawiać większe zainteresowanie sprawami miasta i jego społeczności. Miasta ogromnych wtedy kontrastów społecznych, co znajdowało wyraz także w jego zewnętrznym wyglądzie, okazałe pałace fabrykantów sąsiadowały z ubogimi domkami tkaczy, nędza z przepychem. Miasta zalewanego z jednej strony przez żywioł obcy, a z drugiej zamieszkałego w dużym stopniu przez Polaków przybyłych tu dla chleba.

Wśród wielu przejawów aktywizacji polskości w Łodzi, manifestowania postaw patriotycznych i wzrostu zainteresowań rodzimą kulturą, zrodził się też ruch krajoznawczy.

„Dnia 18 marca 1900 roku na Ogólnym Zebraniu Stowarzyszenia Nauczycieli w Łodzi zapadła uchwała, aby w okresie lata urządzać dla młodzieży szkolnej wycieczki" — czytamy w sprawozdaniu Stowarzyszenia Nauczycieli w 1900 r. Wycieczki te dawały młodzieży możliwość poznania okolic Łodzi, rozwijały zamiłowania do ruchu i turystyki, a jednocześnie budziły miłość do ziemi ojczystej, do przyrody i zabytków oraz krzewiły idee niepodległościowe.

Rozwijający się w całym kraju ruch krajoznawczy był ważnym czynnikiem integrującym naród. Do skutecznej realizacji tego celu potrzebna była jednak prężna organizacja, której założenie natrafiało na sprzeciw zaborców. Rewolucja 1905 r. do 1907 r. zakończyła się przegraną, ale dokonała wielu nieodwracalnych zmian i przeobrażeń w świadomości społeczeństwa. Rozluźniły się też nieco pęta niewoli.

Dzięki temu dochodzi do zorganizowania i zalegalizowania w 1906 r. w Warszawie Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Cele Towarzystwa sformułowano w „Ustawie Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego" obejmowały: zbieranie wiadomości dotyczących krajoznawstwa polskiego, gromadzenie danych naukowych dotyczących ziem polskich i krajów z nimi związanych oraz szerzenie wiadomości krajoznawczych wśród ogółu, a szczególnie wśród młodzieży.

W Łodzi jeszcze przed założeniem Oddziału PTK powstaje w 1907 r. pierwsze Koło Krajoznawców w Szkole Handlowej Zgromadzenia Kupców. Kierował nim uczeń Stanisław Lenartowicz — późniejszy wybitny krajoznawca, długoletni członek Zarządu Głównego PTK.

Niewątpliwie inicjatorem założenia tego koła byli nauczyciele Szkoły Handlowej.

Też nauczyciele: Ignacy Hirszel, Roman Piaskowski i Jan Garlikowski podjęli w styczniu 1909 r. myśl utworzenia w Łodzi Oddziału PTK. Formalne utworzenie Oddziału nastąpiło w dniu 7-go marca.

Pierwszym prezesem Oddziału został Wacław Kloss dyrektor Szkoły Handlowej Zgromadzenia Kupców. W 1910 r. funkcję prezesa obejmuje Józef Adamowicz — też nauczyciel tej szkoły, a po nim od 1914 r. dotychczasowy vice-prezes Jan Czeraszkiewicz, dyrektor pierwszego polskiego gimnazjum męskiego „Uczelnia". Funkcję tę pełnił patron Łódzkiego Oddziału PTTK przez 10 lat, do chwili swej śmierci w 1924 r.

Oddział Łódzki PTK stał się ostoją polskości, ośrodkiem propagowania wiedzy krajoznawczej wśród społeczeństwa Łodzi, zalążkiem działalności naukowej i kulturalnej w tym tak bardzo zacofanym w tych dziedzinach mieście. Był jedną z największych organizacji kulturalno-oświatowych działających w Łodzi. Był też jednym z największych Oddziałów PTK; i tak w 1912 r. zajmował trzecie miejsce po oddziałach: warszawskim i Zagłębia na 22 oddziały istniejące.

Najbardziej atrakcyjną formą działalności było zorganizowanie wycieczek. Zarząd realistycznie ocenił perspektywy rozwoju turystyki na terenie Łodzi. W publikowanej w prasie odezwie pisano: „Miasto Łódź i jego okolica w promieniu kilku mil, przez matkę przyrodę po macoszemu potraktowane zostały, przeto nie spodziewajmy się aby do nas przybyła wycieczka turystyczna, natomiast pewni jesteśmy, że nie raz grono młodych techników zawita, aby z bliska podziwiać ognisko wielkiego przemysłu."

Tak to łodzianie zainaugurowali w PTK nową formę wyeieczek, tj. zwiedzanie zakładów pracy. Była to myśl nowatorska, która pogłębiła ideę krajoznawstwa i spowodowała zainteresowanie Łodzią.

Okres ten tak wspominał Bronisław Szwalme, wieloletni działacz PTK i PTTK, który jeszcze jako młody uczeń brał udział w wycieczkach. „Pierwsze wycieczki po Łodzi wzbudziły wielkie zaciekawienie. Widziano nieraz uczestniczących w nich robotników, którzy przyłączali się do wycieczek, aby tylko usłyszeć żywe słowo o pamiątkach przeszłości. Dalsze wycieczki po miasteczkach i wsiach oświecając umysły i pokrzepiając serca mieszkańców, jednały wiernych członków PTK."

Inną formę stanowiły wycieczki rekreacyjne w najbliższe okolice Łodzi, gdzie wycieczkowicze spędzali dzień w lasach na grach i zabawach. Takie wycieczki urządzały też łódzkie związki zawodowe, które jak podają historycy „nie przejawiały specjalnego zainteresowania sportem, a więcej uwagi poświęcały jedynie organizowaniu wycieczek turystycznych."

Propaganda krajoznawstwa to przede wszystkim organizowane przez Oddział odczyty, pogadanki, wystawy i konkursy oraz utworzona przy Oddziale specjalistyczna biblioteka, która do końca 1918 r. zawierała ok. 400 tomów, w tym wiele cennych pozycji krajoznawczych.

Dużo uznania należy się dla Zarządu i członków Oddziału za zrozumienie konieczności podjęcia badań naukowych i uparte ku temu dążenie. Między innymi rozpoczęto bardzo ambitną i pionierską pracę: „Monografię powiatu łódzkiego". Zebrano wiele materiałów, niestety wybuch pierwszej wojny światowej całkowicie zdezorganizował pracę.

Najefektywniej przebiegały prace w dziedzinie kartografii. Opracowano plan Łodzi z sylwetkami ważniejszych gmachów fabryk, mapy powiatu łódzkiego, Pomorza Kaszubskiego i przemysłu w Królestwie Polskim.

W muzeum krajoznawczym gromadzono przede wszystkim zbiory ilustrujące przeszłość i teraźniejszość przemysłu łódzkiego. Do 1918 r. muzeum posiadało ok. 3 tysiące eksponatów.

Członkowie sekcji fotograficznej utrwalali obiekty krajoznawcze. Do 1914 r. wykonano ponad 700 fotografii oraz kilkaset przeźroczy. Fotograficy nie ulękli się nawet rygorów wojny i powstało wiele prac utrwalających zniszczenia w czasie działań wojennych w Łodzi i okolicy.

W latach 1909—1918 Towarzystwo było zasobne w ludzi chcących i mogących pracować dla idei, którą sobie wytyczyli. Promieniowali w tej zespolonej rodzinie krajoznawczej miłością do swego miasta oraz miłością do Polski.

W 1921 r. powstają w Łodzi pierwsze szkolne koła krajoznawcze PTK. Międzyszkolne Koło Krajoznawcze organizuje prezes Jan Czeraszkiewicz. Inicjatorem Szkolnego Koła Krajoznawczego w Gimnazjum był profesor tego gimnazjum A. Żabicki, a później opiekował się tym kołem prof. Zygmunt Lorentz. W Szkole Handlowej Zgromadzenia Kupców powstaje Koło i działa pod opieką Józefa Adamowicza. We wrześniu 1921 r. na prezesa Międzyszkolnego Koła Krajoznawczego wybrano Leszka Pawłowskiego — ucznia Szkoły Handlowej, późniejszego działacza PTK i PTTK w Pabianicach i profesora Uniwersytetu Łódzkiego. Koło to korzystało z lokalu biblioteki oraz wszelkich urządzeń i pomocy Oddziału Łódzkiego PTK.

Dzięki wymienionym tu nauczycielom i uczniom oraz wielu innym rozwijała się pięknie działalność krajoznawcza wśród łódzkiej młodzieży szkolnej. Wyraz swej radości z tego powodu dał w serdecznych słowach Aleksander Janowski uczestniczący w 1923 r. w zebraniu Koła w Łodzi.

Do pracy z młodzieżą włączyli się też członkowie Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, który rozpoczął swą działalność w 1921 r., a oficjalnie został zarejestrowany w 1923 r. Działacze PTT godnie przysłużyli się do odkrywania przed łodzianami, a przede wszystkim przed młodzieżą piękna gór polskich, do propagowania kultury w turystyce, ochrony przyrody i zabytków. Łodzianie, którym przez wiele lat prezesował inż. arch. Wacław Kowalewski, byli autorami pierwszego projektu „Murowańca" na Hali Gąsienicowej, wspomagali budowę i wyposażenie schroniska na Turbaczu, prowadzili kursy jazdy na nartach, oraz wycieczki i obozy w Tatrach i Gorcach dla młodzieży szkolnej. W pracy z młodzieżą wyróżnił się Adam Ferens, który między innymi podczas wycieczek górskich rozwinął pasję geograficzną i krajoznawczą u swego ucznia Jana Dylika.

Po śmierci Jana Czeraszkiewicza w 1924 r. funkcję prezesa Oddziału Łódzkiego PTK pełnili do 1939 r. kolejno: Józef Adamowicz, Karol Izydorczyk, Maria Nalepińska i wybitny już wtedy geograf — dr Jan Dylik, późniejszy profesor Uniwersytetu Łódzkiego.

Bardzo bogata i różnorodna była działalność Zarządu Oddziału od 1932 r., kiedy to na jego czele stanęła prof. Maria Nalepińska. Najgodniejsze uwagi są dwa nurty w tej pracy, bardzo charakterystyczne dla naszego miasta. Pierwszy nurt, to wywalczanie kulturze polskiej należnego jej miejsca i stanowiska w Łodzi, a drugi to regionalizm.

Łódzcy krajoznawcy dobrze zdawali sobie sprawę z tego, jak niełatwo jest ukształtować w mieszkańcach Łodzi szacunek dla kultury polskiej. Mieszkańcy ci w większości napływowi, byli wychowywani w rodzinach i w mieście bez tradycji wiekowego dorobku kulturalnego, w przeciwieństwie do mieszkańców Krakowa, Warszawy i wielu innych środowisk w Polsce. Należało więc udostępnić ten dorobek kultury, by wywołać w specyficznym społeczeństwie łódzkim, dla którego głównym wykładnikiem był pieniądz, uczucie dumy z tego kulturalnego dorobku wieków. Krajoznawstwo więc wyrabia to uczucie dumy narodowej, które wzmacnia siły duchowe narodu.

Ten swój pogląd Oddział Łódzki przedstawił w swej deklaracji „O nową ideologię PTK" i przesłał w 1933 r. do Zarządu Głównego i 40 większych oddziałów.

W deklaracji tej czytamy między innymi: Krajoznawstwo jest pozbawione wszelkich czynników drażniących, mogących ludzi dzielić. Krajoznawstwo hartuje, broni przed gnuśnością, zwalcza apatię, wyrabia karność i uczucia społeczne, a przez dostarczanie skromnymi środkami coraz to innych, a zwłaszcza zdrowych wrażeń zagłusza złe myśli rodzące się w trudnych warunkach dzisiejszego życia, broni przed defetyzmem, a więc staje się ważnym czynnikiem państwowotwórczym.

W ten sposób pojmuje zadania PTK w dobie dzisiejszej Oddział Łódzki, dlatego też w imię słusznej dumy narodowej, która ma stać się dla duszy naszego społeczeństwa źródłem innych cnót obywatelskich, wysuwamy zagadnienia kultury polskiej na plan pierwszy."

W 1934 r. odbyły się w Warszawie dwa Zjazdy Delegatów PTK. Na pierwszym Oddział Łódzki został wyróżniony jako dobrze pracujący. Drugi Zjazd przyjął deklarację programową Oddziału Łódzkiego za wyraz ideologii Towarzystwa i polecił w całości umieścić ją w protokóle Zjazdu. Wynikiem tego było wprowadzenie do nowego statutu PTK pojęcia kultury polskiej.

Drugim doniosłym nurtem w działalności PTK w Łodzi był regionalizm. Organizowano wiele ciekawych wycieczek mających zaznajomić mieszkańców Łodzi z miastem i jego życiem przez co kształtować przywiązanie do niego. Oddział przyczyniał się jako jedyny w Łodzi w okresie międzywojennym do odkrywania turystycznie nieznanego miasta przed przybyszami z innych stron kraju, a nawet z zagranicy. Jak podała w 1923 r. prasa: „Delegaci na Ogólnokrajowy Zjazd Towarzystwa Nauczycieli nie mogli się nadziwić potędze przemysłowej Łodzi. Interesowali się nie tylko przemysłem i handlem, ale życiem robotników. Duże wrażenie uczyniły na uczestnikach wielkie łódzkie dzielnice robotnicze, które zawsze były ostoją polskości naszego grodu przemysłowego."

Na skutek zabiegów Oddziału PTK, Zarząd Miejski m. Łodzi utworzył w październiku 1937 r. Referat Turystyczny, przez co idea krzewienia turystyki na terenie miasta została poważnie pogłębiona. Zwiększył się też bardzo proponowany przez Łódzki Oddział PTK ruch wycieczkowy do Łodzi. Jak podał „Kurier Łódz-

ki" gościła w tym roku w Łodzi grupa posłów na Sejm z Warszawy, którą witał vice prezydent miasta. Posłowie też zwiedzali Łódź."

„Dziennik Urzędowy m. Łodzi" informował w 1938 r., że przybyła do naszego miasta wycieczka zagraniczna młodzieży polskiej z Łotwy, Litwy i Czechosłowacji. Młodzież zwiedziła miasto, muzeum i fabrykę Poznańskiego. Na zakończenie udała się na przedstawienie do teatru. W marcu 1938 r. Oddział zorganizował kurs dla przewodników. W tym też roku Zarząd Miejski otworzył Miejskie Schronisko Turystyczne przy ul. Brzeźnej nr 3.

W miesiącach letnich 1939 r. nad życiem społecznym Łodzi, tak jak i w całym kraju ciążyła już groźba najazdu hitlerowskiego. Kiedy napaść stała się faktem, wielu członków PTK i PTT stanęło w obronie Rzeczypospolitej, cierpiało i ginęło w obronie najwyższych wartości jakimi są wolność narodu i godność człowieka.

Wspomnijmy niektórych z nich. W dniu 9 września 1939 r., gdy Łódź została obsadzona przez siły hitlerowskie 8 armii, na starym rynku w Bydgoszczy zostaje rozstrzelany vice przewodniczący Komitetu Obywatelskiego do Walki z dywersją niemiecką — Konrad Fidler. Ginie gorący patriota, członek założyciel Oddziału Łódzkiego PTK, wieloletni członek Zarządu, przewodniczący sekcji wycieczkowej i odczytowej w Łodzi, a następnie prezes Zarządu Oddziału w Bydgoszczy. W dniu 17 września pod Sochaczewem ginie bohaterską śmiercią porucznik rezerwy Wojska Polskiego — Wacław Kleck, działacz PTT, przewodniczący sekcji narciarskiej. Herman Wendt — wieloletni działacz PTK i PTT, prezes Łódzkiego Oddziału PTT w 1939 r. — nie przyjmuje volkslisty, ucieka przed prześladowaniami do Warszawy, gdzie pod przybranym nazwiskiem Wędrowicz ginie w Powstaniu Warszawskim. Zygmunt Lorentz niestrudzony działacz PTK wśród młodzieży, autor książki „Narodziny Łodzi przemysłowej", prezes Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, był w okresie okupacji kuratorem Okręgu Łódzkiego Oświaty — tajnego nauczania, aresztowany przez gestapo zostaje zamordowany w więzieniu w 1943 r.

Giną działacze PTK: Zygmunt Hajkowski, Włodzimierz Pfeiffer, Roman Pieńkowski. Nie wrócił też do naszego miasta sekretarz ostatniego Zarządu Oddziału Łódzkiego PTT — Kazimierz Jarociński, który w przededniu wyzwolenia Łodzi w dniu 18 stycznia 1945 r. zostaje rozstrzelany przez niemców u wylotu Doliny Kościeliskiej w Tatrach.

Cześć Ich pamięci.

Odradzający się po wojnie w kraju tradycyjny turystyczno-krajoznawczy ruch społeczny objął swym zasięgiem także nasze miasto. Mimo dużych strat wśród działaczy reaktywowowały swą działalność w latach 1945—1946 Oddziały PTK i PTT. Prezesem Oddziału PTK zostaje prof. Jan Dylik, a Oddziału PTT Władysław Kałużny. Dzięki tradycjom oraz zbieżnym celom działalności dochodzi do bardzo ścisłej współpracy obu oddziałów. Wspólnie redagowano komunikaty, wspólnie organizowano odczyty i wycieczki.

Po powstaniu w Warszawie w 1950 r. Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego przez połączenie PTK i PTT, w dniu 4-go marca 1951 r. delegaci Oddziałów PTK i PTT wybierają pierwszy Zarząd PTTK w Łodzi, działający na obszarze miasta i województwa łódzkiego. Oddzielenie Oddziału Łódzkiego od Okręgu PTTK następuje w 1953 r.

W nowych warunkach organizacyjnych, przy czynnym wsparciu, aż do dnia dzisiejszego przez dawnych działaczy PTK i PTT, kształtuje się nowa kadra PTTK i trwa nieprzerwanie działalność krajoznawczo-turystyczna przynosząc naszemu miastu i jego mieszkańcom zawsze aktualne wartości, pogłębianie i wzbogacanie stale nowymi treściami naszej współczesnej rzeczywistości.

Jedną z nowych form stała się działalność aktywu w Kołach Zakładowych PTTK, w Komisjach, Klubach i Kołach Oddziału, a przede wszystkim imprezy z wielu dziedzin turystyki kwalifikowanej, umożliwiają kontakt z przyrodą, zabytkami i współczesnymi osiągnięciami w kraju setkom tysięcy mieszkańców Łodzi, głównie młodzieży szkolnej.

Ofiarni i zasobni w dużą wiedzę przewodnicy PTTK ułatwiają przybyszom do Łodzi poznanie naszego miasta, przybliżają historię, tradycje i współczesność drogiego nam miasta.

Nie zabrakło nas w ważniejszych dla Łodzi wydarzeniach, które upamiętniane są tradycyjnymi imprezami turystycznymi. Trwa praca społeczna, której walory poznawcze i dydaktyczne oraz siła społecznego oddziaływania stanowią olbrzymi kapitał zaufania, jakim darzone jest nasze Towarzystwo przez władze Łodzi i jej społeczeństwo. Trwa praca społeczna zapoczątkowana przed osiemdziesięciu laty przez pionierów łódzkiego krajoznawstwa i turystyki.

Dziś chyląc czoła przed osiągnięciami naszych poprzedników potwierdzamy jeszcze raz niezłomną wolę kontynuowania chlubnych tradycji i dzieła PTK i PTT w Łodzi, w tym tradycji ofiarnej pracy dla młodzieży, promowanie kultury polskiej i regionalizmu...

ANDRZEJ SOSNOWSKI

50 lat ZOO w Łodzi

Aktlalnie obchodzone 50-lecie Łódzkiego ZOO opiera się na fragmentarycznych przekazach prasowych z lat poprzedzających wybuch II wojny światowej

Nie ma w Archiwum Miasta Łodzi śladu o konkretnym fakcie otwarcia ZOO dla publiczności, co jest w świecie przyjęte jako początek jego działalności.

Zwierzęta muszą być przecież wcześniej zgromadzone, a tym bardziej muszą stać już budynki, wybiegi i woliery służące eksponowanym zwierzętom za mieszkanie. Budowanie trwa jednak dalej nie tylko po otwarciu ZOO dla publiczności, ale przez cały czas jego egzystencji. Zahamowanie procesów rozbudowy i przebudowy oznacza bowiem regres. Doświadczenia w utrzymywaniu i hodowli zwierząt bogacą się z roku na rok, zawsze istnieje ich międzynarodowa wymiana, produkuje się coraz to nowe materiały budowlane — to wszystko (jak również, przeważnie, wielkie zaangażowanie emocjonalne ludzi pracujących w ZOO) mobilizuje do coraz to nowych rozwiązań technicznych, a więc do polepszenia warunków bytu zwierzętom oraz warunków pracy — obsłudze.

Czasem roboty budowlane utrudniają przejściowo możliwość oglądania mieszkańców Ogrodu, ale tylko po to, aby, po zakończeniu prac, było lepiej.

Tak więc Łódzki Ogród Zoologiczny jesienią 1938 roku został ogrodzony, a więc definitywnie wyodrębnił się od otaczającego go parku, powstałego na terenie dawnej puszczy Łódzkiej.

Zwierzęta, także egzotyczne, były w Łodzi gromadzone od pierwszej połowy XIX wieku. Stanowiły one jednak wówczas własność prywatną. Nawet pierwszy, otwarty dla publiczności w końcu XIX w., zwierzyniec w Helenowie (dziś Park 19 Stycznia) był prywatny, należał do braci Anstadtów, właścicieli łódzkiego browaru.

Władze Miasta, a głównie architekt zieleni miejskiej Stefan Rogowicz, na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych obecnego wieku zajął się porządkowaniem starych i urządzeniem nowych terenów zielonych w Łodzi. Miasto nasze było do tego czasu bardzo pod tym względem zaniedbane, jeśli nie liczyć prywatnych przypałacowych parków. Udało się inż. Rogowiczowi bardzo wiele zdziałać, a jego „oczkiem" w głowie był Ogród Zoologiczny.

Pierwsza myśl o miejskim ZOO zakiełkowała, jak nam obecnie wiadomo, już w roku 1928. Od roku 1932 przystąpiono do opracowywania założeń. Opierano się na doświadczeniach istniejących już wówczas Ogrodów w Poznaniu i w Krakowie, a przede wszystkim na współpracy z dr Janem Żabińskim, dyrektorem warszawskiego ZOO. Zastanawiano się najpierw nad lokalizacją. Zdecydowano się na Zdrowie. Wydaje się dziś, że bardzo słusznie (duży teren zieleni, niewielka odległość od śródmieścia, łatwa więc osiągalność dla mieszkańców miasta, najsuchszy wycinek terenów popuszczańskich).

Początkowo obiekt podlegał Zarządowi Miasta. Zwierzęta, na razie krajowe, były przed urządzeniem nowego ZOO gromadzone w prowizorycznych pomieszczeniach parków Poniatowskiego i Źródliska. Nie zdecydowano się na import bardziej atrakcyjnych, a łatwiejszych w hodowli, najpospolitszych egzotyków, co doradzał dr Żabiński.

Z dniem 13 czerwca 1939 r. powołane zostało nowe kierownictwo w postaci 5 osobowej komisji.

Od kwietnia tegoż roku działał w nowym ZOO wyznaczony na stałe lekarz weterynarii.

W ciągu roku 1939 i 1940 zlikwidowano tymczasowe zwierzyńce w w/wym. parkach. Władze okupacyjne zamknęły ponadto ekspozycję zwierząt w posiadłości Anstadtów, likwidowały też wędrowne cyrki, również prze-

kazując zwierzęta do Łodzi na Zdrowie. Władze niemieckie rozbudowały nawet nasze ZOO.

Po wojnie w Łodzi została przy Ogrodzie założona baza zoologiczna Naczelnej Organizacji Widowisk Rozrywkowych. Baza pod kierownictwem Ryszarda Tomskiego, będącego równocześnie dyrektorem ZOO, organizowała zakupy zwierząt za granicą. Część z nich zostawała w Łódzkim ZOO. Ta sama Baza przejęła część nie zabezpieczonych zwierząt z ZOO we Wrocławiu. Stamtąd pochodzi do dziś żyjący aligator „Kacper", stamtąd była też hipopotamica „Lusia", która zginęła w 1950 roku skutkiem zaczopowania jelita cienkiego piłką tenisową oraz pawiany — założyciele dzisiejszego, najliczniejszego w Polsce, stada pawianów.

Pierwszym znanym z nazwiska, pielęgniarzem zwierząt był Franciszek Andrzejczak, mający pod swą pieczą jeszcze przed wojną cały zwierzostan (ok. 50 sztuk). W styczniu 1945 r. było zatrudnionych 10 pielęgniarzy. W latach bezpośrednio powojennych podjęli pracę w Łódzkim ZOO następni pielęgniarze, ludzie pracujący niejednokrotnie z wielkim zaangażowaniem przez wiele lat. Umiejętności swoje i doświadczenia nabywali z własnej praktyki. Dopiero później były organizowane przez Ministerstwo Gospodarki Komunalnej specjalistyczne kursy.

Organizowali pracę hodowlaną ludzie z wyższym wykształceniem: zootechnicy, zoologowie i lekarze weterynarii. Każdy z nich zaczynał jedynie z pewnym zasobem wiadomości teoretycznych, a praktykę trzeba była zdobyć samemu, nie ma w Polsce bowiem uczelni przygotowującej do tak specjalistycznego odcinka pracy, jak hodowla zwierząt nieudomowionych. Wejście w ciekawy świat zagadek biologicznych, jakie przychodzi w ZOO rozwiązywać oraz sama praca ze zwierzętami angażuje przeważnie na całe życie. Wyniki hodowlane Łódzkiego ZOO, które postawiły ten Ogród wśród znaczących w świecie, są zasługą tych ludzi.

Osobą, która ułatwiła całość pracy hodowlanej i wychowała wielu bardzo dobrych pielęgniarzy, a także asystentów była mgr inż. Elżbieta Ślusarska, która całe swe czynne życie poświęciła Ogrodowi. Dziś już na zasłużonej emeryturze.

Nie tak trwale związali się z Łódzkim Ogrodem pierwsi jego kierownicy i dyrektorzy. Częste były zmiany na tym stanowisku. Wymienić należy jednak mgr Jana Landowskiego, przedwojennego asystenta Warszawskiego ZOO, a późniejszego jego dyrektora. Dopiero od roku 1948 notujemy pewną stabilizację. W latach 1948—1951 dyrektorem był Leszek Dukwicz. Był on inicjatorem pierwszego planu perspektywicznego ZOO. Uzyskał u ojców miasta nowy teren, powiększający powierzchnię Ogrodu prawie o 100%. W wyniku tej decyzji przesunięciu na zachód uległ przebieg ulicy Krzemienieckiej, a kilka domów mieszkalnych i obiektów gospodarczych znalazło się wewnątrz ZOO. Część z nich wyburzono, jeden przeznaczono na przechowalnię na zimę zwierząt z cieplejszych stref geograficznych, a jednocześnie na stajnię i oborę dla zwierząt gospodarczych. Dwa budynki murowane udostępniono jako mieszkania dla pracowników ZOO. Na początku lat sześćdziesiątych jednak pracownicy ci otrzymali mieszkania w mieście, a budynki przerobiono: a) na wiwarium, b) na dyrekcję i biuro ZOO.

Po krótkim okresie dyrektorowania dr (dziś prof.) Henryka Sardnera, stanowisko to objął Henryk Dwojacki. W ciągu 3 lat uzyskał dla Ogrodu dużą niezależność administracyjną przez utworzenie przedsiębiorstwa na pełnym rozrachunku gospodarczym, oraz przedsięwziął pierwsze na dużą skalę remonty i inwestycje, czym objął przede wszystkim małpiarnię, stajenki kopytnych, wybiegi dzików, stawy ptactwa wodnego, budynek małych ssaków oraz salę świetlicowo-kinową. Utwardził on też powierzchnię alejek. Rozpoczął modernizację budynku i wybiegu pawianów.

W roku 1955 Inspektorat Ogrodów Zoologicznych przy Ministerstwie Gospodarki Komunalnej zorganizował pierwszy centralny import zwierząt dla wszystkich krajowych Ogrodów Zoologicznych. Eksporterem który pierwszy wyjechał na zakup zwierząt do Holandii był pracownik Łódzkiego ZOO. Tego rodzaju akcję prowadziło potem Ministerstwo co rok, aż do 1978 r.

Od roku 1956 rozwija się w ZOO ambulatorium i laboratorium weterynaryjne.

W roku 1957 dyrektorem został mianowany Aleksander Gaworkiewicz, a w roku 1969 — autor niniejszego. Od 1958 roku rozwinęła się współpraca i wymiana doświadczeń z kolegami po fachu z zagranicy: najpierw z NRD, później coraz szerzej, od roku 1975 już w ramach międzynarodowej organizacji Unii Dyrektorów Ogrodów Zoologicznych.

Budowy i przebudowy trwają dalej. Do większych nowych obiektów należą: basen lwów morskich, magazyn i kuchnia zwierzęca, kompleks wybiegów wielbłądów i lam, akwarium, pawilon z dużymi wybiegami dla lwów, tygrysów i gepardów, budynek ambulatorium, pomieszczeń socjalnych i warsztatów, strusiarnia, nowy budynek małych ssaków, nowy budynek niedźwiedzi, nowe wejście do ZOO z budynkiem kas biletowych, stajenka z wybiegami kangurów, żyrafiarnia. Te 2 ostatnie obiekty powstały na jubileusz 50-lecia. Jednym z największych sukcesów inwestycyjnych było wybudowanie sieci c.o. i podłączenie wszystkich obiektów ZOO do elektrociepłowni. Roboty trwały przez lata 1980—1987.

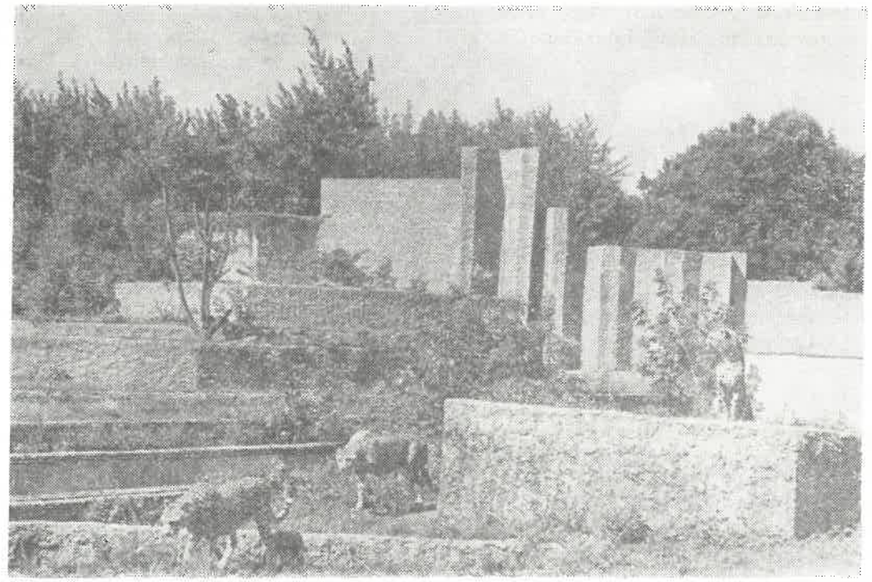

Gepardy

repr. Ewa Dudaczyk

Dla wyrównania zasadniczych luk w podstawowej ekspozycji świata zwierzęcego konieczne jest powiększenie terenu, minimum o 10 ha. W roku 1963 decyzją Rady Narodowej przyznano już Ogrodowi ok. 10 ha. Niestety, decyzja została wkrótce zmieniona, zanim udało się przystąpić do prac organizacyjnych, a przede wszystkim do ogrodzenia nowego terenu.

Ogrody Zoologiczne dawno przestały być wyłącznie przechowalnią zwierząt odławianych z warunków naturalnych. Dziś liczy się tylko taki Ogród, który zwierzęta hoduje, a więc rozmnaża. Wiele gatunków zwierząt mnoży się regularnie, ale najbardziej liczą się sukcesy wyrażone przychówkiem zwierząt rzadko dają-

Mama koczkodan zielony z dzieckiem

repr. Ewa Dudaczyk

cych przychówek w warunkach wiwaryjnych. I takich odnotowano w historii Łódzkiego ZOO sporo, np:

mangaby szare,
koczkodany nadobne,
,, sowiogłowe,
,, oliwkowe,
kapucynki,
tupaje,
gazella dżejran,
dujker grym,
gnu brunatne,
garny,
sarny,
wielbłądy,
alpaki,
pekari,
zebry,
koń Przewalskiego,
niedźwiedź wargacz,
żbiki,
karakale,
tygrysy syberyjskie,
jaguary, w tym czarne,
lisy rude,
likaony,
łaskun muzang,
wikławce,
jeżatki,
kapibary,
aguti,
wiskacze,
kalongi,
pancerniki,
kangury białogardłe,
emu,
nandu,
sępy płowe,
kormorany,
bociany,
czarne łabędzie,
bażanty królewskie,
bażanty nepalskie,
ary zielonoskrzydłe.

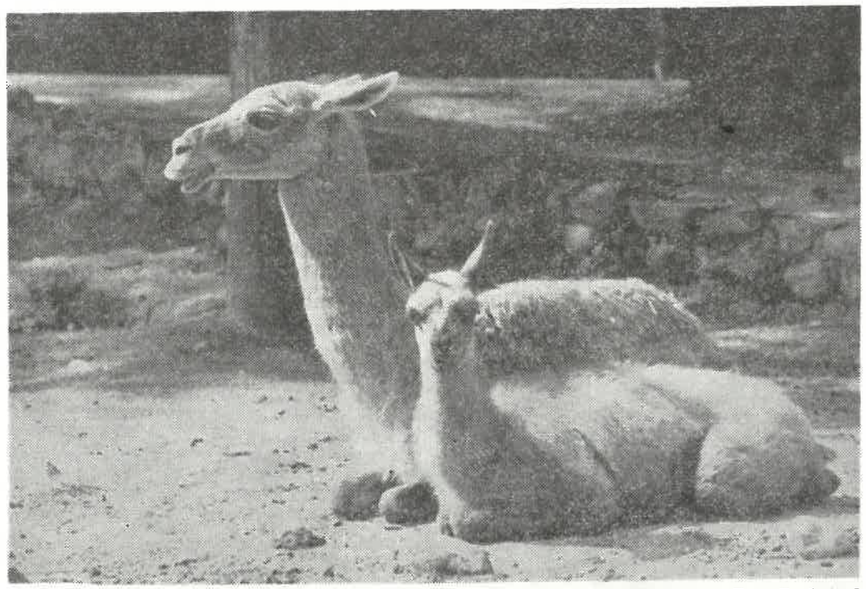

Guanaco *repr. Ewa Dudaczyk*

Wbrew pozorom niektóre gatunki zwierząt krajowych (sarny, żbiki, lisy, bociany) bardzo rzadko rozmnażają się w ZOO. Na osobne wyróżnienie zasługuje łódzkie stado pawianów zielonych, utrzymuje się bowiem jako stado od 1945 r. bez wymiany krwi i regularnie daje przychówki. Wiele egzemplarzy z tego stada wysłano do innych Ogrodów Zoologicznych, tak krajowych jak i zagranicznych.

Zupełnie nieoczekiwanie powstał w Łodzi jedyny obok austriackiego Salzburga ośrodek hodowli niedzwiedzi-krzyżówek białego z brunatnym. Tylko w Łodzi prowadzi się tę hodowlę systematycznie. Wyniki były rewelacyjne: okazało się, że te krzyżówki międzyrodzajowe (a więc daleko ze sobą spokrewnione) dają potomstwo płodne i to zarówno ze strony żeńskiej, jak i męskiej).

Działem zwierząt rozwijającym się intensywnie w ostatnich latach są niższe kręgowce: gady, płazy i ryby. Udało się rozmnożyć:

Legwany zielone *repr. Ewa Dudaczyk*

żółwie mauretańskie,
,, greckie,
,, błotne,
,, ozdobne,
gekony pazurkowate,
,, lamparcie,
,, toke,
bazyliszki płatkogłowe,
zaskrońce,
pytony królewskie,
,, tygrysie,
połozy amurskie (24 szt.),
boa (44 szt.),
anakondy żółte (54 szt.),
kumaki,
traszki Waltla,
ryby uaru.

W pewnych, wyjątkowych przypadkach liczy się jako duże osiągnięcie — sam fakt urodzenia się zwierzęcia, mimo nieudanych prób jego odchowu. Dotyczy to oczywiście gatunków, nad których rozmnożeniem Ogrody Zoologiczne intensywnie pracują i jak dotąd, nie-

Struś afrykański nie bał się obiektywu *repr. Ewa Dudaczyk*

wielkie mają rezultaty. W Łodzi też takie przypadki miały miejsce. Sześciokrotnie urodziły się pandy małe. Najdłużej udało się utrzymać przy życiu 1 małe: 38 dni. Jak się okazało po śmierci, miało ono tylko 1 czynne płuco. Fakt wyklucia się w roku 1981 dwóch kazuarów też jest sukcesem wyjątkowym. Takim dużym, choć połowicznym sucesem były wylęgi 2 strusi afrykańskich, karakary, sójkowca.

Na materiale zwierzęcym Ogrodów Zoologicznych prowadzi się wiele badań, doświadczeń i obserwacji naukowych. Przede wszystkim korzysta z tego materiału Uniwersytet Łódzki, ale również i inne, m.in.: Wojskowa Akademia Medyczna, cywilna Akademia Medyczna w Łodzi, SGGW w Warszawie, ART w Olsztynie, AR w Poznaniu, Instytut Zoologiczny PAN w Krakowie. Wiele filmów dydaktycznych nakręciła łódzka Wytwórnia Filmów Oświatowych.

Dalszy rozwój Łódzkiego ZOO zależy od możliwości terenowego poszerzenia ekspozycji. Biuro Rozwoju Miasta rozważa tę sprawę. Natomiast powiększenie zwierzostanu wobec braku środków dewizowych możliwe jest jedynie na drodze wymiany zwierząt. Najpilniejszą potrzebą jest obecnie uzupełnienie rodziny żyraf.

Stopniowo rozwijają się młodzieżowe kółka zainteresowań, konieczna w tym dziale jest jednak większa pomoc ze strony Kuratorium.

Ogród Zoologiczny w Łodzi stanowi dziś jeden z najważniejszych w naszym mieście ośrodków dydaktycznych pozaszkolnych, którego same metody oddziaływania (czynna rekreacja) są atrakcyjne. W świecie coraz bardziej zurbanizowanym istnieje bardzo duże zapotrzebowanie na kontakt ze zwierzętami i w ogóle z żywą przyrodą.

Portret kondora *repr. Ewa Dudaczyk*

GRZEGORZ ULMAN

Nowe formy pracy z młodzieżą w Łódzkim Oddziale PTTK

W Oddziale Łódzkiego PTTK, podobnie jak w całym Towarzystwie, od dłuższego już czasu daje się zaobserwować niepokojąco szybki wzrost średniego wieku naszej kadry. Młodzież bardzo chętnie uczestniczy w naszych imprezach, natomiast nie garnie się do działalności społecznej. Powodów takiego stanu rzeczy jest wiele, ale wymienię tylko te, które moim zdaniem są najważniejsze:

1. Przed laty polska szkoła nie tylko uczyła, ale także wychowywała kształtując wrażliwą, ciekawą świata, bogatą osobowość młodego człowieka. Wzorując się na tradycjach klasycznych, w jednakowym stopniu dbano o rozwój umysłowy, duchowy i fizyczny swoich wychowanków. W tym procesie dydaktyczno-wychowawczym ważną rolę pełniła turystyka i krajoznawstwo. Nic więc dziwnego, że i młodzież z tamtych lat chętnie przyjmowała idee PTK, PTT, a także PTTK jako swoje życiowe kierunkowskazy, łącząc się z tymi organizacjami często na całe życie. Dzisiejsza szkoła uwikłana w swoje własne biurokratyczne, programowe i kadrowe problemy jest stałym sprzymierzeńcem naszego Towarzystwa. Odczuwają to najlepiej nauczyciele, działacze PTTK, którzy zauroczeni ideami krajoznawstwa i turystyki, mimo wielu trudności prowadzą za sobą młodzież. Niestety liczba takich nauczycieli jest niewystarczająca, by efekty ich pracy z młodzieżą były widoczne w znaczącym stopniu.

2. Pojęcie „działacz społeczny" uległo nie z naszej winy deprecjacji, bowiem zbyt często za tym określeniem stoją ludzie wykorzystujący tę pozycję w społeczeństwie wyłącznie dla korzyści osobistych. Stąd też nasi PTTK-wscy aktywiści często jeszcze uchodzą w swoich środowiskach za zjawiska kuriozalne. Bezinteresowna działalność na rzecz innych jest dzisiaj po prostu niemodna i to też nie zachęca młodzieży do tego typu pracy.

3. Zerwana została w Towarzystwie więź pokoleniowa. Istnieje zbyt duża różnica wieku pomiędzy naszymi działaczami, a kandydatami na ewentualnych młodych aktywistów. Różnica dwóch lub trzech pokoleń bardzo utrudnia nawiązanie koleżeńskich kontaktów na tradycyjnych zebraniach towarzyskich czy szkoleniowych. My żyjemy naszymi wspomnieniami z naszej młodości, często trochę zmitologizowanymi jako, że są to wspomnienia z naszej młodości, ale dla współczesnej telewizyjno-komputerowej młodzieży te nasze wspomnienia razem z archaiczną dzisiaj projekcją przeźroczy „z tamtych lat" stanowi po prostu mało ciekawe spotkanie z dość sympatycznymi, ale jednak zdziczałymi ramolami. Trzeba mieć wyjątkowy talent, aby uchodzić za ciekawego gawędziarza, który potrafi wzbudzić autentyczne zainteresowanie młodego audytorium.

4. Zainteresowania krajoznawcze wymagają od nas pewnego wysiłku intelektualnego. Jest to również ciągłe zaspokajanie ciągle niezaspokojonej ciekawości świata. Tymczasem w epoce konsumowania gotowej telewizyjnej papki informacyjnej grzebanie się w krajoznawczych bibliotekach przestało być atrakcyjne.

Te przesłanki utwierdziły nas w przekonaniu, że pilnie musimy szukać nowych, skutecznych form pracy z młodzieżą. Nie idzie tylko o to, żeby nasze Towarzystwo przetrwało jeszcze jakiś czas po nas, ale przede wszystkim zależy nam na wzbogaceniu życia o wartości uznawane przez ludzkość od czasów antycznych jak sprawność fizyczna i intelektualna, poczucie piękna, koleżeństwa, miłość do świata przyrody i kraju ojczystego, szacunek dla kultury duchowej i materialnej. My wiemy, że nawet w trudnych czasach nasza ścieżka krajoznawcza jest pogonią za pełnią życia, jest spo-

sobem na życie w świecie pełnym stressów. W wyniku tych poszukiwań w 1985 r. skrystalizowała się koncepcja organizacyjna Młodzieżowego Studium Krajoznawczo-Turystycznego, szkolącego młodzieżowych organizatorów turystyki z jednoczesnym wykształceniem trwałych cech turysty kwalifikowanego. Dotychczasowe tradycyjne formy szkolenia nie satysfakcjonowały nas, bowiem po ukończeniu kursów niewielu młodych absolwentów zostało razem z nami. Postanowiono więc umożliwić młodzieży nie tylko uczestnictwo w zajęciach teoretycznych, ale jednocześnie zadbano o to, aby uczestnicy Studium poznali możliwości wędrówek turystycznych w okolicach Łodzi i noclegi w warunkach turystycznych, a także umożliwiono zdobywanie odznak turystyki kwalifikowanej. Istotną sprawą było również nawiązanie kontaktów młodzieży z dorosłą kadrą programową naszego Oddziału w warunkach turystycznych. Dla kursu przyjęto nazwę MSK-T uważając, że brzmi ona sympatycznie, nie kojarzy się z typowymi zajęciami szkolnymi i przyciąga młodzież. Program przewidywał osiem wycieczek sobotnio-niedzielnych (dwudniowych) prowadzonych czerwonym szlakiem wokół aglomeracji łódzkiej. Noclegi zapewniono w warunkach turystycznych, w pomieszczeniach szkolnych, wykorzystując sprzęt z naszej wypożyczalni (bezpłatnie). Szkolenie teoretyczne odbywało się na jednym spotkaniu wstępnym oraz każdorazowo w szkołach gdzie nocowano. Jednocześnie włączono do wieczornych spotkań gawędy o tematyce krajoznawczej. Do prowadzenia wycieczek, szkolenia teoretycznego i prowadzenia gawęd delegowano najlepszych naszych działaczy posiadających nie tylko wymagany zakres wiedzy, ale także dar zjednywania sobie sympatii, umiejętności pedagogiczne, wysoki autorytet. Ćwiczenia praktyczne prowadzone były w czasie tych dwudniowych wycieczek, a także w czasie trzydniowego biwaku zorganizowanego na zakończenie kursu, w czasie którego przeprowadzono egzamin końcowy. Uczestnicy Studium w ramach szkolenia brali także udział w obsłudze ogólnopolskiego rajdu w Górach Świętokrzyskich w charakterze praktykantów, pod bezpośrednim nadzorem dorosłej kadry przodownickiej. Tematyka szkolenia była zgodnie prowadzona z ogólnym programem specjalistycznego kursu młodzieżowych organizatorów turystyki. Wszystkim uczestnikom Studium zapewniono program kursu i konspekty wykładów. Wykładowcy prowadzili zajęcia nieodpłatnie, w ramach czasu wolnego. Zapewniono im potrzebne materiały poglądowe i ćwiczeniowe oraz środki audiowizualne. Dla absolwentów Młodzieżowego Studium Turystyki przygotowano w czasie wakacji dwutygodniowy obóz wędrowny po Kotlinie Kłodzkiej. Dwukrotna nieusprawiedliwiona nieobecność na zajęciach wykluczała uczestnika z kursu i być może dlatego uformowana na początku zdyscyplinowana grupa dotrwała w komplecie do końca szkolenia. Na podkreślenie zasługuje fakt, że akcja nasza przebiegała w ciągu roku szkolnego, co pozwoliło na uniknięcie kolizji z rodzinnymi planami wakacyjnymi. Nabór uczestników kursu odbywał się na wniosek SKKT—PTTK zgodnie z wymogami regulaminu młodzieżowych organizatorów turystyki. Tym niemniej forma naboru wymaga jeszcze doskonalenia i współpracy nauczycieli związanych z naszą działalnością. Uprawnienia młodzieżowych organizatorów turystyki zdobyło dziewiętnaście osób na trzydzieści osiem osób zgłoszonych w pierwszym okresie. Średnio udział brało w zajęciach 27 osób, a 9 osób wykruszyło się po pierwszej wycieczce. A co najważniejsze — uczestnicy Studium, mimo że reprezentowali 10 szkół, bardzo szybko zintegrowali się w autentycznie przyjacielską grupę. Szesnaście dni wspólnych wędrówek z kadrą Oddziału pozwoliło uzyskać zaskakujący efekt. Miernikiem była wzorowa obsługa na rajdzie oraz wysoki poziom wiedzy i umiejętności turystycznych, sprawdzonych podczas egzaminu. W ocenie egzaminatorów młodzieży, jej poziom znacznie przewyższał rezultaty osiągane podczas dotychczas organizowanych kursów stacjonarnych. Mieliśmy też inną satysfakcję. W ciągu tego roku młodzież nasza zrobiła wyraźny skok w rozwoju intelektualnym, co znalazło swoje odbicie w wynikach nauczania w szkole, a także w opiniach rodziców. Przeszkolona przez nas młodzież zawiązała swój własny klub Młodzieżowych Organizatorów Turystyki „WATRA". Bierze ona już teraz czynny udział w organizacji różnych ogólnodostępnych imprez turystycznych, a także organizuje swoje własne imprezy klubowe. Między innymi członkowie „WATRY" są głównymi organizatorami tradycyjnego rajdu naszego Oddziału „Szlakiem Powstania Styczniowego", biorą udział w obsłudze tras na Rajdach Świętokrzyskich i innych.

Na podobnych zasadach organizacyjnych przeszkolono następne dwie grupy młodzieży. W roku 1986 zgłoszono 28 osób, średnio uczęszczało na zajęcia 22 osoby, a egzamin zdało tylko 9 zapaleńców. W 1988 roku zaś wyniki były lepsze przez bardziej trafny dobór młodzieży. Zgłoszono bowiem 30 osób, średnio uczestniczyło 18 i cała ta osiemnastka zdobyła uprawnienia Młodzieżowego Organizatora Turysytki.

Największym jednak osiągnięciem naszego działania jest, że młodzież z pierwszych kursów opuściła już szkołę i jest w dalszym ciągu związana z naszym Oddziałem.

Napewno jest niezbędny stały dalszy wysiłek kierownictwa Oddziału, aby ci młodzi ludzie poczuli się znacznie pewniej w naszym środowisku.

W każdym razie, jak widać z powyższych relacji, są możliwe nowe, atrakcyjne formy pracy z młodzieżą, dające bardzo dobre efekty, choć wymagają one jeszcze przysłowiowego ostatecznego doszlifowania.

WŁADYSŁAW MANDUK

KURS

Powoli, równym krokiem, nie wykazując pośpiechu, posuwaliśmy się wokół Morskiego Oka i ścieżką pod żelazny krzyż na brzegu Czarnego Stawu. Henryk (1) niósł w małym plecaku haki, karabinki, młotki i pętle, a ja na plecach pięknie zwiniętą linę. Zdążaliśmy pod zachodnie ściany Żabiego Mnicha.

W Tatrach znaleźliśmy się nie przypadkowo, uczestniczyliśmy bowiem w kursie dla kandydatów na instruktorów taternictwa. Z braku kadry instruktorskiej w Łodzi, już od roku 1951 przeprowadziliśmy szkolenia dla adeptów taternictwa na kursach teoretycznych, skałkowych i tatrzańskich. Był więc już najwyższy czas na formalne uzyskanie stopni instruktorskich. Skorzystaliśmy więc z nadarzającej się okazji.

Powstałe w 1950 roku PTTK z połączenia PTT z PTK, pochłonęło automatycznie Klub Wysokogórski. Wcześniej stanowił on autonomiczną organizację w ramach PTT, a teraz przekształcony został w Sekcję Alpinizmu PTTK. Zarząd Klubu uległ rozwiązaniu, a przewodnictwo Sekcji objął nieznany nikomu Ob. Kerc (2), narzucony przez władze. Okazał się być niezłym organizatorem. Lecz nie był związany z taternictwem i środowiskiem taternickim. Podobno miał poza sobą jakąś działalność w górach, ale mgła tajemnicy ją kryła. Przy całkowitej nieznajomości problemu, który podejmował, wykazywał zbytnią pewność siebie. Chciał uchodzić za wielkiego znawcę spraw górskich i nie zniżał się do dyskusji na tematy z nimi związane. Z tych powodów, w bardzo zżytym środowisku, nie znajdował sympatii. Nie można mu jednak odmówić, że w tych trudnych czasach „błędów i wypaczeń" spełnił krótką, acz pozytywną rolę. Na przykład, Kołu Łódzkiemu pomógł w usamodzielnieniu się. Dzięki niemu, w dużej mierze, taternicy mogli wspinać się w pasie granicznym. Zostały

„Człek wielkiego serca" — p. Kerc *repr. W. Manduk*

„Słowik kursu" — Teresa Rubinowska

repr. W. Manduk

dla nich otwarte drogi na graniczne wierzchołki. Co prawda uwarunkowano to specjalnym zezwoleniem z dowództwa WOP. W latach stalinowskich wszystko było zakazane, na co nie otrzymało się pozwolenia.

W latach pięćdziesiątych tolerowano w Tatrach obozy środowiskowe oraz kursy szkoleniowe. Czynnikom oficjalnym łatwiej było przeprowadzać kontrolę w zespole zorganizowanym, obozach czy kursach, niż wśród taterników chodzących samopas. Indywidualni turyści i taternicy stanowili wówczas element podejrzany, niepożądany i po cichu tępiony. Trzeba wrócić pamięcią do koszmaru czasów „kultu jednostki", kiedy to każdy obywatel traktowany był jako potencjalny szkodnik, przestępca, dywersant lub szpieg.

Na wieść o kursie, mającym się odbyć we wrześniu 1953 roku skorzystaliśmy z możliwości, zgłaszając z Henrykiem swój udział. I w ten sposób znaleźliśmy się nad Morskim Okiem.

W dniu wolnym od szkoleniowych zajęć, z Nadziakiewiczem, od lat partnerem wypraw górskich, wybraliśmy się na krótką wspinaczkę na Żabim Mnichu. Mieliśmy chętkę na przejście bardzo trudnej drogi, odkrytej przez braci Żuławskich, a wiodącej środkiem północno-zachodniej ściany, na wierzchołek tego malowniczego szczytu. Podejście pod ścianę od schroniska przy Morskim Oku jest długie lecz dość urozmaicone. Dźwigając się wciąż w górę, usłyszałem dochodzącą spod turni śpiewaną melodię. Przez chwilę obaj zatrzymaliśmy się i słuchaliśmy tego niecodziennego zjawiska (śpiew w ścianie!). Podeszliśmy trochę wyżej, przesunęliśmy się do skalnych

„Uporaliśmy się szybko i sprawnie — Henryk Nadziakiewicz *repr. W. Manduk*

zerw ściany i wtedy z góry doszły słowa piosenki:

„Z miłością niech się nikt w konszachty nie wdaje,
Bo prędzej czy później kością w gardle mu staje.
Moja Andzia ostygła w miłosnym zapale
A ja się tak żalę... łada-rada-ta-ta.
O jakżem ją strasznie, jakżem ją miłował.
Omal żem jej masłem i miodem nie smarował
Ale diabli nadali mi tego Michała
Całą noc z nim hulała... łada-rada-ta-ta".

Poznaliśmy biegnący ze skał głos. To śpiewał słowik kursu, Tereska (3). Męczyła się w kominie Humpoli i Świerza. Aby więc nie zasłużyć na ochrzan Andrzeja (4), swego instruktora, śpiewała, dla odwrócenia uwagi:

„Ja żyć już nie mogę, powieszę się, umrę
Ubiorą mnie pięknie i położą w trumnę.
A na trumnie — dwa serca rzeźbione bogato
Bo mnie jeszcze stać na to... łada-rada-ta-ta.
Wywiozą mnie wozem za same rogatki
Położą mnie w grobie, posadzą mi kwiatki
Niech smutny przechodzień nad grobem poduma:
Tu leży ten co umarł... łada-rada-ta-ta".

Zabawna melodia, śmieszne słowa wpadały w ucho. Trzy pierwsze wiersze każdej zwrotki — w rytmie rozwlekłej, dziadowskiej pieśni, a czwarty — w tempie żywym, rytmie obertasa. Piosenka zyskała uznanie na kursie. Śpiewana

„Wodzem jest zacny, ceniony redaktor" — Mieczysław Babiński *repr. W. Manduk*

też była chętnie przez kilka lat. A Tereska wyśpiewała nią pozytywną ocenę na koniec kursu.

Przesunęliśmy się poza krawędź ściany. Głos zcichł i zmilkł. Ze swą drogą uporaliśmy się szybko i sprawnie. W drodze powrotnej przypomniałem sobie spotkanie w Dolinie Staroleśnej autora drogi, Wawrzyńca Żuławskiego (5), ze mną i mym partnerem Józiem Szamborskim (6). Wówczas towarzyszył on Stefanii Grodzieńskiej (7) i wracał do Roztoki. My zaś wędrowaliśmy do schroniska Teryego. Był to rok 1947, kiedy jeszcze udawało się chodzić po całych Tatrach. I dziwnym trafem kraj na tym nie ucierpiał. Podczas tego przygodnego spotkania rozmawialiśmy w czwórkę o przyszłości polskiego alpinizmu. Szykowała się właśnie pierwsza powojenna, a ostatnia przed długą przerwą, wyprawa polskiej ekipy w Alpy. Jej drobne, acz niewątpliwe sukcesy okrył mrok zapomnienia w okresie marazmu i zimnej wojny nadchodzących lat.

Swoim zwyczajem schodziliśmy szybko: na Białczańską Przełęcz Wyżnią, do Czarnego Stawu, skąd ścieżką do schroniska. Spieszyłem się bo ciążyły na mnie biurokratyczne obowiązki związane z przebiegiem kursu.

Kurs odbywał się pod egidą Zarządu Głównego PTTK i kierownictwa Sekcji Alpinizmu. Na jego czele stał redaktor Mieczysław Babiński (8), taternik wielce doświadczony, o dużym osobistym autorytecie. Sprawy sportowe spoczywały w rękach Tadeusza Pawłowskiego (9), przezywanego Pstrusiem, taternika i ratownika, całe życie związanego z górami. On decydował o składzie wspinających się grup, o doborze instruktorów i dróg. Ja (10) występowałem na kursie, w podwójnej roli, z jednej strony byłem kandydatem na instruktora, a z drugiej pełniłem dość humorystyczną funkcję (z dzisiejszej perspektywy patrząc!) zastępcy kierownika do spraw polityczno-wychowawczych, co w codziennej gwarze brzmiało jako „politruk". Do mych obowiązków należało przekazywanie programu zajęć na dzień następny dowódcy strażnicy WOP na Łysej Polanie. Normalnie wiadomości przekazywało się telefonicznie. Ale gdy wiatr zerwał przewody, „politruk" musiał pieszo gonić na Łysą Polanę (i z powrotem) ze swym meldunkiem. Władze WOP przestrzegały rygorystycznie dostarczania meldunków, grożąc zamknięciem dostępu do gór w razie zaniechania tego obowiązku.

Moja praca polityczno-wychowawcza nie była uciążliwa. Nikt nie traktował jej na serio. Ot, chodziło o odfajkowanie dwóch pogadanek w ciągu kursu. Na zagadnieniach polityczno-ekonomicznych nie znałem się zbyt dogłębnie. Aby się nie kompromitować wobec

„Bzika damsko-topograficzego" — Stanisław Groński
repr. W. Manduk

kursantów i instruktorów (nielicznie uczęszczających na pogadanki) zabrałem z Łodzi kilka wycinków prasowych z różnych czasopism. I treść ich poprostu odczytywałem. Nie zauważyłem tylko, że niektóre artykuły prasowe pochodzą z przed paru lat. Wśród różnych wypowiedzi znalazł się tam cytat z przemówienia programowego późniejszego marszałka PRL Mariana Spychalskiego. W tym czasie pozostawał on na indeksie i przebywał w więzieniu! Popełniona przez niego zbrodnia nosiła miano „nacjonalistycznego odchylenia". Na kursie, nikt ze słuchaczy, nawet upolitycznionych Tano (11) nie zwrócił na mą gafę uwagi. To także świadczyło o braku poważnego podejścia do nikomu nie potrzebnych wykładów.

Kurs był dość liczny. Uczestnicy, rekrutujący się z różnych stron kraju, znali się jednak wszyscy z działalności w Tatrach. Młodzież była zżyta. A tych kilkadziesiąt dni spędzonych razem pogłębiło uczucia przyjacielskie. Uczestnicy kursu sypiali w starych schroniskach na pryczach piętrowych. Żywili się sami, gotując na ganku. „Naczalstwo" oraz instruktorzy urządzili się w nowym schronisku na morenie przy Morskim Oku. Wieczory spędzaliśmy najczęściej wspólnie na werandzie. Grało się w brydża, czytało przewodniki, opowiadało kawały, śpiewało. Dziwię się turystom, nocującym i żywiącym się w schronisku, że tak stoicko podchodzili do częstych wybryków młodzieży kursowej. Nie naprożno Mojżesz zwał ją „skursusynami". Tu, na werandzie powstało sporo piosenek o poszczególnych osobach i grupach. Sporo żartów i dowcipów aktualnych. Trudno dziś po trzydziestu pięciu latach, wydobyć je z pamięci. Spróbujmy.

„Do Moka wybitni wspinacze przybyli
Że chodzić po górach będą sobie, marzyli,
Więc przywieźli ze sobą sprzętu całe kupy,
Ale aura do... kitu... łada-rada-ta-ta.

A wodzem jest zacny, ceniony redaktor,
Co kurs ten prowadzi jak Ursusa traktor.
Pstruś w całej machinie głównym mechanikiem
Władek politykiem... łada-rada-ta-ta.

A drogi nasz Tano codzień nam wykłada
Jak kogo trenować o tym opowiada.
A wszyscy z zapartym oddechem słuchają,
Bo im chodzić nie dają... łada-trada-ta-ta.

Tekst piosenki ułożył Zbigniew Żyliński (12) wykorzystując modną melodię „Niech nikt się z miłością..."

Podśpiewując Kuplet o Tano, staje mi przed oczyma Żabi Koń, „powietrzna" jego grań i przysadzisty profil. To właśnie z Tadeuszem, Marysią Skrzydlewską i Jurkiem Wojnarowiczem odbyliśmy instruktażową wspinaczkę na tę niewielką turnię. Od Czarnego Stawu skierowaliśmy się ku Żabiej Przełęczy. Poszliśmy nietypowo, paskudnie kruchą ścianką niemal wprost na siodełko przełęczy. Było to chyba pierwsze przejście. Z Żabiej Przełęczy wiedzie droga piękną, płytową granią, opadającą niezmiernie stromymi zerwami ku północy i południu. Przez uskok zachodniej grani zjeżdża się po linie na siodełko Żabiej Przełęczy Wyżnej. Trzeba przy tym uważać, aby nie być wyważonym w otwartą północną ścianę. Z przełęczy zeszliśmy łagodnie przez Tylkową Przełączkę do stóp południowej ściany Żabiego Konia. To właśnie ona była celem wyprawy. Sprawnie pokonaliśmy trudności, przy stosowaniu bardzo prawidłowej i pewnej asekuracji. Ze szczytu zjechaliśmy powtórnie na przełęcz. A następnie podążyliśmy przez Żabią i Wołową Turnię ku Małej Wołowej Szczerbinie. Zbiega z niej ku północy stroma rynna, spadająca do wąskiego, a niżej rozszerzającego się trawiasto-piaszczystego zachodu. Taternicy zwą go zachodem Grońskiego, choć jego pierwszego przejścia dokonał w 1921 roku Mieczysław Świerz z Wandą Jerominówną. Schodziliśmy niezwiązani, Tano pierwszy, potem Skrzydlewska, Wojnarowicz, a ja zamykałem pochód jak to często miałem w zwyczaju. Na marginesie muszę dodać, że podchodzenie było moją piętą achillesową, natomiast schodziłem rekordowo prędko (42 minuty z Rysów do schroniska nad M.O !). Tadzio popędzał swoją gromadkę, przyśpieszając kroku i wołając do mnie: „Władek, nie odstawaj". Włączyłem więc trzeci, wreszcie i czwarty bieg, wyprzedziłem partnerów jeszcze przed piargami. Nad brzegiem Czarnego Stawu musiałem czekać na nich całe dziesięć minut. Nadbiegli dysząc, a Tano stwierdził: „No, pokazałeś nam dobrą szkołę!".

„Taternik z żyłą w odbycie" — Zbigniew Żyliński
repr. W. Manduk

„Zjazdy teorią tłumaczy" — Zdzisław Dziędzialewicz
repr. W. Manduk

Instruktorska kadra na naszym kursie przedstawiała się reprezentacyjnie. Na jej czele stał wspaniały człowiek, znakomity alpinista, znawca Tatr jakiego drugiego nie było — Stanisław Groński (13) przezywany Mojżeszem (zapewne z powodu nie golonej brody). Mojżesz lubił krotochwile, lubił żartować z siebie i z innych. Do wszystkich osób płci nienadobnej zwracał się per „synu", bez względu na wiek osoby. Był ogromnego wzrostu i niespożytych sił. Jeździł świetnie turystycznie na nartach, robił wspinaczki zimowe i letnie o dużych trudnościach, tak samotnie, do pięćdziesiątego roku życia, to znaczy do śmierci górskiej w Alpach.

Poeci kursowi Żyliński i Nadziakiewicz takie satyryczne strofy o nim ułożyli:

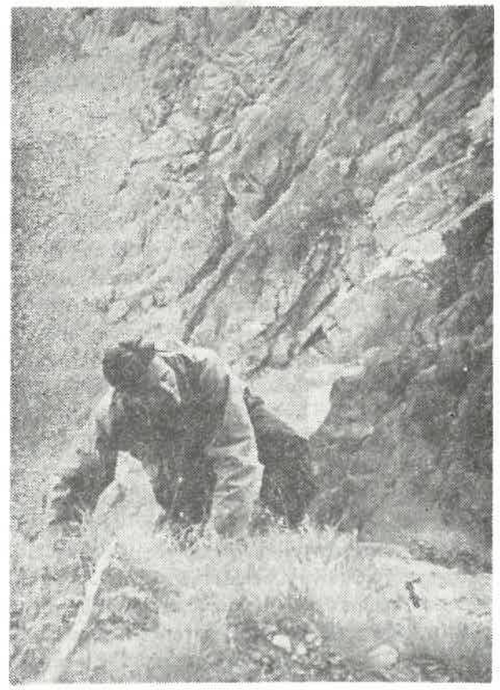

„We wszystkie sprawy jest wtajemniczony" — Władysław Manduk
repr. W. Manduk

„Jest trener co wygląd ma strasznie pieroński
To słynny Tatr znawca, Stanisław jest Groński,
Topografii nie znają dziś wcale ci młodzi
Sam trzydzieści lat chodzi... łada-rada-ta-ta.

On w Tatrach zna wszystkie góry i dolinki
Najbardziej zaś lubi nieletnie dziewczynki,
Choć brody nie goli i nóg też nie myje
Tylko dla gór żyje... łada-rada-ta-ta".

„Inni grają w brydża" — Zofia Erdmanówna
repr. W. Manduk

Z Mojżeszem wspinałem się tylko raz w 1956 roku. Obaj prowadziliśmy instruktaż na zimowym kursie łódzkim na Hali Gąsiennicowej. Było to na grani Zamarłej Turni. Ze szczytu zjechałem rynną po śniegu, bardzo zresztą klasycznie i przepisowo, a Mojżesz ochrzanił mnie przy kursantach. I miał rację. Teren tam jest przepaździsty — a gdybym nie wyhamował skutecznie? W takich miejscach nie należy prowokować wypadku.

Drugim, co do wieku instruktorem, okazał się Dzięddziel (14). Kapitalny technik w skalnej wspinaczce. W praktyce taternickiej wykorzystywał swoje wiadomości zawodowe inżyniera mechanika. Każde zagadnienie lubił gruntownie wyjaśnić w oparciu o teorię. W przeciwieństwie do niego Eugeniusz Strzeboński (15) (Gienek) wolał wszystko pokazać w praktyce, zademonstrować wizualnie, nie znosił komentarzy. Z natury był małomówny, ale przyjacielski i serdeczny. Lubił dobrą kawę, krótkie drogi, szybkich partnerów, także w brydżu. Nosił się schludnie i wymagał tego również od kursantów. O nim śpiewano nad Morskim Okiem słowami Nadziakiewicza:

„Milczący, poważny niby starszy docent,
Z nim chodząc pewności masz pełne sto procent.
Lecz by na wspinaczkę zechciał Ci pozwolić —
Musisz się ogolić... łada-rada-ta-ta".

I dalej na tę samą melodię o dwóch tak odmiennych ludział jak Dzięddziel i Gienek:

„Jest jeden co zjazdy teorią tłumaczy
Jak zjeżdżać dziś trzeba, nie można inaczej
A najłatwiej zrozumieć Dzięddziela,
Gdy się ma... stracha... łada-rada-ta-ta.

A Gienek swą grupę poucza poprostu
Iść z nim każdy może byle bez zarostu
On uwagi nie zwraca, bo szkoda fatygi.
Pokazuje na migi... łada-rada-ta-ta".

Trudno mi określić wiek pozostałej kadry. Tak na oko mogli mieć po 25—27 lat, z wyjątkiem młodszych od pozostałych dwóch Andrzejów, Andrzej Pietsch przezywany Piczusiem (4) był świetnym wspinaczem i równie dobrym instruktorem. Znałem go już wcześniej, gdyż szkolił mnie na kursie zimowym. Wówczas to w drodze na Żabiego Mnicha nastąpił wypadek. Szliśmy nie związani przez Mokrą Wantę. Bogna Wiśniewska (Skoczylas) (16) poślizgnęła się na lodzie i obsunęła kilkadziesiąt metrów, łamiąc rękę i żebro. Sprawna akcja Andrzeja Pietscha, dwóch Skoczylasów i uczestników wspinaczki, pozwoliła szybko dowieść poszkodowaną toboganem do schroniska i udzielić pomocy lekarskiej. To było kiedyś. Na kursie instruktorskim wspinałem się znów z Andrzejem i też na Żabim Mnichu. Północna grań tego szczytu była naszym celem. Mało pamiętam z przeżyć tego dnia. Wiem, że związałem się liną z Jerzym Wojnarowiczem i podziwiałem jak jego stare wibramy doskonale trzymają się skały, gdy skokiem pokonywał szczerbę grzebienia skalnego. Czasem właśnie takie błahe epizody zapadają w pamięć.

Nie wykazując staranności w ubiorze, stąd Szmaciarzem zwany Jerzy Sawicki (17) miał za sobą bogatą kartę wspinacza. Podczas zajęć kursowych przeszedłem z nim tylko jedną drogę — nadzwyczaj trudną południową ścianę Żabiego Mnicha. Szliśmy w dwie dwójki. On, z Józkiem Dejem (18), a ja związany z Wandą Sterańską. Po powrocie ze szczytu, siedliśmy pod uskokiem i skierowaliśmy wzrok na przewieszoną zerwę grani Cubryny. Szmaciarz rzucił mimochodem „to jeszcze nie robione". Na te słowa, wykazał zapał Józek, tak najczęściej flegmatyczny i wyraził chęć na próbę. Poszli. Od razu trzeba było bić haki i windować się w górę podciągiem. Po dobrej chwili za załomem skalnym znikł pierwszy Jurek, potem Józek. Jakoś nam z Wandą, nie uśmiechała się ta ślusarska robota. Zwinęliśmy więc manatki i wróciliśmy do schroniska. A oni wykosili nam drogę!

Ze Szmaciarzem miałem własne porachunki. Jak wiadomo przy wspinaczce pomocne są opisy przebytych dróg. W okresie trwania kursu, tomiki przewodnika W.H. Paryskiego (zwane „Wuhapem"l), obejmujące otoczenie Morskiego Oka i Czarnego Stawu nie zostały jeszcze wydane. Korzystano z opisów prywatnych i nieczęsto spotykanych egzemplarzy przewodnika Chmielowskiego i Świerza z lat 1924/25. Posługiwano się też rzadkim w kraju czeskim przewodnikiem Kroutila. Jako jedyny z kursantów posiadałem ten ostatni. Posiadałem, ale go nie miałem. Zniknął bowiem pewnego dnia z werandy schroniska, tuż spod mojej ręki. Szczęśliwie odnalazł się pod koniec sezonu. Szmaciarz, bo to on przewodnik „wypożyczył", wyjaśnił kolegom: „Kroutil nie jest Mandukowi potrzebny, przecież on wyczynowo nie wspina się".

Mandukowskie kłopoty ujął wierszem Żyliński:

„We wszystkie on sprawy jest wtajemniczony
Niestety zapomniał wziąć krawat czerwony
Dziś każdy jak może mu życie umila,
Bo skradli mu Kroutila... łada-rada-ta-ta".

Z Tadeuszem Zipserem (19) zwanym Architektem, dotychczas nie zetknęliśmy się. W schronisku często siadywał na schodach, wiązał i rozsupływał pętle, okręcał się liną, bawił się sprzętem jak dziecko. Mówił niewiele. Chciałem zobaczyć w jaki sposób instruuje i przez Pstrusia wkręciłem się pod jego skrzydła na drogę przez grań Mięguszowieckich Szczytów. Architekt traktował swą przewodniczą rolę nader poważnie. Odnosił się do mnie jak do początkującego ucznia, co nawet było zabawne, gdyż dzieliła nas różnica kilkunastu lat wieku na moją korzyść. Na nietrudnej grani zachodniej, już przy zejściu, asekurował się „na sztywno". Podobnie nie pozwolił zwinąć liny przy zejściu z Hańczowej Przełęczy. Powróciliśmy, mimo to, szczęśliwie, a ja ponad to — dobrze poinstruowany!

Z kursowych plotek dowiedziałem się, że Zipser jest rzeczywiście architektem i projektuje układ ogrodu zoologicznego we Wrocławiu. Poza tym jest miłośnikiem muzyki poważnej. Zbyszek Żyliński w swych piosenkach potraktował go jednak bardzo niepoważnie:

„Architekt co wprawę zdobył na zwierzętach
Codziennie godzinę w schronisku tkwi w pętlach
Przy graniu uwertur rękami wciąż fika
Ma lekkiego bzika... łada-rada-ta-ta",

Złośliwa satyra Żyły była nazbyt okrutna. Każdy artysta, a Architekt był takowym, rządzi się swymi, indywidualnymi prawami. Nie można mu tego mieć za złe. Pozornie odludek, emocjonalnie związał się silnie ze społecznością kursu. Bacznie obserwował wszystko jak na scenie. I też satyrycznie, w mini plastyce, przedstawił występujące na scenie postacie. Obok spisanych piosenek, jedyną pamiątką materialną pozostałą po kursie, jest artystyczny twór rąk i zdolności Zipsrha — komplet brydżowych kart, przez niego wyrysowanych. W wieczorne godziny, gdy inni grali w brydża, płodzili dowcipy, czytali, on siadał w ukryciu i przy nikłym świetle rysował. Sporządził dwie talie kart, w nich zamiast kolorów pik, kier, karo, trefl, wprowadził haki, młotki, szałasy i jeziora. Na miejsce tradycyjnych figur powstawiał karykatury uczestników kursu. Poznajemy na nich postacie i twarze Redaktora, Mojżesza, Dzięddziela, Tereski, Wandy, Zetki, Żyły, Kolankowskiego(naszego lekarza), Szymańskiego i mnie. Jakże przyjemnie i ze wzruszeniem, dziś się je ogląda.

Nie miałem okazji wspinać się ze Szlachetnym, jak przezywano Zdzisława Jakubowskiego (20). Był doświadczonym trenerem po specjalistycznych studiach. Taternictwo stanowiło jego zawód. Na kursie prowadził obowiązkowe poranne ćwiczenia gimnastyczne, przed wyruszeniem w góry. Zwracał szczególną uwagę na swój i innych wygląd zewnętrzny, estetyczny ubiór, staranne ułożenie sprzętu i zwinięcie liny. Miał wprost fizyczny wstręt do niechlujstwa, które z miejsca piętnował. Z tego powodu uczestnicy kursu lękali się z nim chodzić, chociaż wspinał się i asekurował nienagannie.

Jedynym trenerem z Łodzi był Andrzej Wilczkowski (21), pospolicie Wielkim zwany. Liczył sobie najmniej lat z całej kadry. Posiadał też najkrótszy staż taternicki. Jednakże jego dorobek sportowy ilościowo i jakościowo był poważny. Wielu taterników mogłoby zazdrościć wilkowych dokonań letnich i zimowych w Tatrach oraz wyczynów w skałkach jurajskich. Także jego umiejętności instruktażowe stały na najwyższym poziomie. Znany był z dosadności wyrażeń, naogół niecenzurowanych, którymi częstował szkolonych. Wieczorne „gadki" na tematy makabryczne jednały mu również sławę. W tych ostatnich celował, budząc grozę słuchaczy obrazowym stylem gawędy.

Zagadkę o Wilku tak wiara śpiewała słowami Nadziakiewicza i Żylińskiego:

„Z trenerów najmłodszy lecz kosa nielicha.
Pięć razy już robił grań Żabiego Mnicha.
W dyskusji on każdej głos chętnie zabiera.
Co to za cholera... łada-rada-ta-ta.
Żabiego grań Mnicha z uporem powtarza
Nie goli se brody, brzydko się wyraża
Odstrasza gadkami naiwnych turystów
Prezes makabrystów... łada-rada-ta-ta".

Łodzianie stanowili sporą grupkę na kursie w 1953 roku. O trenerze Wilku przed chwilą wspominałem. Z kursantów wymienię już przytoczonych Józefa Deja, Henryka Nadziakiewicza, Zbigniewa Żylińskiego i mnie. Nic natomiast nie powiedziałem o pupilce kursu, Zofii Erdman (22), wszystkim znanej jako Zetka. Któregoś dnia po południu, po zajęciach oficjalnych z Zetką i Józkiem Dejem spakowaliśmy sprzęt i podeszliśmy pod bliski Żabi Szczyt Niżni. Wybraliśmy drogę Stanisławskiego, nadzwyczaj trudną, na południowo-zachodniej ścianie. Ściana ta, wysoka na sto metrów, opada do wielkiej depresji, ograniczonej z jednej strony szczytowymi urwiskami, a z drugiej — ścianami Grani Apostołów. Jest to piękny kocioł skalny, prawdziwa świątynia wśród gór. Tu zaczyna się nasza droga. Losujemy kolejność na linie. Mnie wypadł Nr 3. Zetka idzie w środku, a Józek na pierwszym wyciągu prowadzi. Zaraz na wstępie udaje się przejść nowym wariantem kilku metrowy odcinek drogi. Wyżej klinuje mi się plecak w kominku, co stwarza potrzebę manipulacji sprzętem. Po krótkim marudzeniu, wspinam się wyżej. Już bliski szczyt. Z wierzchołka rozciąga się piękny widok. Szczególnie interesujący jest krajobraz, gdy zwrócimy się na południe: Żabia Lalka, Rysy, Żabi Koń z tego miejsca wyglądają imponująco. Niedługo będzie zachód słońca, trzeba wracać. Ale co to? Cztery cienie przesuwają się poniżej nas w powietrzu. Po krótkiej obserwacji stwierdziliśmy, że to była czwórka czarnych bocianów. Frunęły mniej więcej na tej samej wysokości i okrążały kotlinę Czarnego Stawu i Morskiego Oka. Chciały przedostać się na południe, aby uniknąć ostrej polskiej zimy. Lecz wysokie granie były widać dla nich nie do przebycia. Dopiero po okrążeniu obu jezior natrafiwszy na Wrota Chałubińskiego, przez nie się wydostały.

Wrześniowa pogoda coraz płatała nam figle. Po pięknym ranku i gimnastyce w promieniach słońca, w południe chmurzyło się i zaczynało padać. Nic nie pomagała znajomość meteorologii. Na wspinaczce często podlewał nas deszcz i mokrzy wracaliśmy na swoje wyrka. Trzeba podkreślić dobrą wolę kierownictwa oraz instrukeorów, którzy pomimo trudnych warunków atmosferycznych potrafili program kursu realizować. Czasem zdarzało się grupie zabiwakować w górach, gdy zbyt późno wyruszała na wyprawę. Ale taki jest los taterników.

Niespożyty w poetyckiej twórczości, Żyła tak o instruktorach śpiewał:

„Trenerów dobranych tu mamy jak rzadko
Lecz nie wszystkie ściany wychodzą im gładko
Z przestrzeni i czasu to wcale nie czują,
Przeto w pętlach kiblują... łada-rada-ta-ta".

Mojżeszowe ‚skursysyny" z każdym dniem bardziej ze sobą i trenerami zżywali się. Trenerzy zaczęli przyszłych instruktorów cenić za gorliwość w nauce, pasję wspinaczkową i przyswajanie metodyki szkolenia. Na tę ostatnią sprawę, a pierwszą pod względem ważności, zwracał szczególną uwagę Tano. Jego wykłady z tej dziedziny cieszyły się powodzeniem nietylko kursantów ale też i kadry.

Żyliński — poeta, był kolegą bardzo wesołym, lubiącym opowiadać kawały i sam takowe układał. Nosił stare spodnie mocno sfatygowane, z dużą łatą na pośladku. Na łacie, któraś z koleżanek wydziergała napis „Żyła". Było mnóstwo śmiechu, ale też i dąsy niektórych. Na zakończenie kursu, po ograniczonych ceremoniach oficjalnych, Żyła zaśpiewał swoją ostatnią wiązankę piosenek na melodię „Saperzy":

„My jeśsteśmy pesymiści — śći-śći.
Naszym godłem dąb bez liści — śći-śći.
Źle było, źle będzie w całym Klubie i wszędzie
Oprócz nas wszyscy są w błędzie — dzie.

Każdy ma lekkiego bzika — ka-ka
Za wyjątkiem taternika — ka-ka
Źle było, źle będzie...

Przyszły złote czasy Kerca — ca-ca
Mały człek wielkiego serca — ca-ca
Źle było, źle będzie...

Z błotem pewnie nas zmieszają — ją-ją
Lecz i tak racji nie mają — ją-ją
Lepiej drapać się praktycznie — nie-nie
Niż badać teoretycznie — nie-nie
Źle było, źle będzie...

Mojżesz bzika ma innego — go-go
Damsko topograficznego — go-go
Źle było, źle będzie...

Szlachetnemu psuje życie — cie-cie
Taternik z „Żyłą" w odbycie — cie-cie
Źle było, źle będzie...

Tano ciągle nam wykłada — da-da
Za to Gienek nic nie gada — da-da
Źle było, źle będzie...

Bez zegarka — nocleg bywa — wa-wa
Kto się nie zgrał ten się zgrywa — wa-wa
Źle było, źle będzie...

Przez wiele lat wspinaczka górska stanowiła moje hobby. Wspinałem się na skałkach jurajskich i Tatrach, uprawiałem alpinizm w Kaukazie Wysokim i górach Turcji. Działałem organizacyjnie i szkoleniowo w Klubie Wysokogórskim w okresie, gdy był cząstką PTTK, a także i później. Działałem też zawsze w PTTK społecznie. Muszę przyznać jednak, że ten mały fragment mego aktywnego życia, jaki przewinął się przez opisywany kurs z 1953 roku dał mi niewspółmiernie wiele satysfakcji i zadowolenia w stosunku do jego trwania. Mam prawo sądzić, że inni uczestnicy i cała żyjąca kadra osądza Kurs podobnie.

Kończąc niniejsze wspomnienia, chciałbym gorąco podziękować Kol. Henrykowi Nadziakiewiczowi i Kol. Zbigniewowi Żylińskiemu za trud odszukania i za udzielenie mi zezwolenia na wykorzystanie na tym miejscu swych tekstów piosenek. Jednocześnie pragnę przeprosić czytelników za pominięcia osób lub zniekształcenia przedstawionych faktów.

Przypisy (23).

1. Henryk Nadziakiewicz — ur. 1913 pod Rymanowem — zamieszkały w Łodzi — mgr inż. chemik późniejszy doc. i dr — Specjalista od aparatury pomiarowej — W charakterze instruktora taternictwa obsłużył kilkadziesiąt kursów w ciągu prawie 30 lat. Honorowy członek Łódzkiego Klubu Wysokogórskiego, starszy instruktor taternictwa, honorowy przodownik GOT, fotograf, redaktor i wydawca 1953—54 „Taternika Łódzkiego".
2. Ob. Kerc — Kierownik Sekcji Alpinizmu Z.G. PZTK, wyznaczony przez władze z poza szeregów taternickich.
3. Teresa Rubinowska — Po zakończeniu aktywnej działalności tatrzańskiej prowadziła z mężem w Kielcach warsztat wyrobu sprzętu puchowego.
4. Andrzej Pietsch (Piczuś) — Artysta plastyk, późniejszy profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. — Jeden z najlepszych wspinaczy lat pięćdziesiątych. Wspinał się w towarzystwie licznych sław tego okresu. Autor wielu nowych dróg. Instruktor taternictwa.
5. Wawrzyniec Żuławski (Wawa) — ur. 1916 w Zakopanem — Zginął w 1957 r. w grupie Mont Blanc w akcji ratunkowej — Taternik 1932—53, alpinista, ratownik, autor książek o tematyce alpinistycznej. Przewodniczący Sekcji Alpinizmu 1954—56, prezes Klubu Wysokogórskiego 1956—57 — Muzykolog, kompozytor, profesor Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi i Warszawie.
6. Józef Szamborski — ur. 1921, zamieszkały w Łodzi 1945—48 — Lekarz, późniejszy profesor dr habil. Akademii Medycznej w Warszawie — Partner wypraw turystycznych w Tatry i pierwszych wspinaczek Władysława Manduka (10).
7. Stefania Grodzieńska — Literatka, publicystka, taterniczka 1949—56 — Towarzyszyła głównie W. Żuławskiemu i T. Orłowskiemu. — Twórczość literacką opierała w sporej mierze na tematyce związanej z Tatrami.
8. Mieczysław Babiński — ur. 1897, zm. 1985 r. — Redaktor. — Taternictwo uprawiał od 1933 do ukończenia 80 lat (klasyczna droga na Mnichu!) — sam nauczył się języka japońskiego, został propagatorem kultury japońskiej. Za tę działalność otrzymał wysokie odznaczenie od rządu japońskiego i zaproszenie na pobyt do Japonii — Członek honorowy Klubu Wysokogórskiego i PZA.
9. Tadeusz Pawłowski (Pstruś) — ur. 1910 w Warszawie — mgr inż. chemii — wspinał się w Tatrach, Alpach, Ruwenzori, Kaukazie, Apeninach i górach Kurdystanu. Instruktor taternictwa, przewodnik, ratownik — Kierował schroniskiem w Starej Roztoce, a potem pod Ornakiem — Kierownik TOPR-u a potem GOPR-u — wydał wraz z Zofią Paryską przewodnik uzupełniający do przewodnika Chmielewskiego i Świerza. — Członek honorowy Klubu Wysokogórskiego i PZA.
10. Władysław Manduk — ur. w Warszawie 1910 r. — mgr inż. chemik. Pracował 30 lat w przemyśle włókien chemicznych. — Turysta górski od 1925 r., taternik od 1947 r. Wspinał się również w Kaukazie Wysokim i górach Turcji. Autor kilku nowych dróg i pierwszych przejść zimowych. Starszy instruktor taternictwa. — Działacz Zarządu Głównego i Łódzkiego KW — Fotograf. — Członek honorowy Klubu Wysokogórskiego i PZA. — Członek honorowy PTTK. Honorowy przodownik GOT.
11. Tadeusz Nowicki (Tano) — zamieszkały w Krakowie — Prawnik, politolog, późniejszy pracownik aparatu partyjnego. — Taternik, instruktor taternictwa. Członek władz Klubu Wysokogórskiego.
12. Zbigniew Żyliński (Żyła) — ur. 1928 r. zamieszkały w Łodzi — mgr inż. włókiennik, dyrektor w jednym z zakładów przemysłu włókienniczego. Współwłaściciel prywatnego warsztatu konfekcji odzieżowej. — Taternik w latach 1950—54, świetny wspinacz skalny. Instruktor taternictwa. — Uprawiał turystykę kajakową i jest organizatorem łódzkiej grupy PTTK w corocznym spływie zimowym Brdą.
13. Stanisław Groński (Mojżesz) — ur. 1907 r. zginął w Alpach w wypadku w 1957 r. — Taternik, alpinista, st. instruktor taternictwa, narciarz turystyczny. Związany z górami od 1928 r. do końca życia. Wspinał się w Tatrach, Alpach i Atlasie. Często obsługiwał jako instruktor kursy klubu łódzkiego. — Członek honorowy Klubu Wysokogórskiego. Jego tablica pamiątkowa znajduje się na symbolicznym cmentarzu pod Ostrewą w Tatrach Słowackich.
14. Zdzisław Dziędzielewicz (Dziędziel) — ur. 1916 r. — Studiował we Lwowie i Gliwicach, gdzie uzyskał dyplom mgr inż. mechanika. Pracował jako projektant w Biprohucie. — Znakomity wspinacz, prekursor wyszukanych metod wspinania i asekuracji. Instruktor, narciarz akrobatyczny. — Członek honorowy Klubu Wysokogórskiego i PZA.
15. Eugeniusz Strzeboński (Gienek), — ur. 1926 r. zm. 1986 r. w Zakopanem. — Taternik, alpinista, narciarz, instruktor, przewodnik. Najczyn-

niejszy ratownik tatrzański — brał udział prawie w 500 wyprawach ratunkowych. Od 1956 r. pozostawał na etacie GOPR-u jako kierownik grupy tatrzańskiej.

16. Bogna Wiśniewska (Skoczylas) — Zamieszkała w Łodzi i studiowała Akademię Medyczną. Obecnie w Warszawie po doktoracie. — W latach pięćdziesiątych jedna z najlepszych wspinających się kobiet w kraju. Była pierwszą kobietą, która przeszła drogę Łapińskiego i Paszuchy na Mnichu. Działała w Łódzkim kole KW.
17. Jerzy Sawicki (Szmaciarz) ur. ok. 1927 r. zm. ok. 1967 w Ameryce. — Matematyk. Świetny wspinacz, autor wielu nowych dróg, instruktor.
18. Józef Dej — ur. 1919 r. — mgr inż. mechanik — wspinał się w skałkach i Tatrach. Prowadził instruktarz. W Zarządzie Koła Łódzkiego KW pełnił funkcję sekretarza. — Fotograf.
19. Tadeusz Zipser (Architekt) — ur. ok. 1926 — inż. architekt, późniejszy profesor Politechniki Wrocławskiej. Autor projektów ZOO Wrocławskiego — Taternik i instruktor.
20. Zdzisław Jakubowski (Szlachetny) — ur. ok. 1926 r. — Ukończył Akademię Wychowania Fizycznego, Trener alpinizmu, taternik — Później Kierownik Szkoły Taternictwa KW na Hali Gąsiennicowej.
21. Andrzej Wilczkowski (Wilk) — ur. 1931 w Łodzi — mgr inż. mechanik. Starszy wykładowca na Politechnice Łódzkiej. Taternik, autor ciekawych nowych dróg i pięknych pierwszych przejść zimowych. Instruktor na kilkudziesięciu kursach teoretycznych, skałkowych tatrzańskich letnich i zimowych. Pierwszy prezes łódzkiej organizacji taternickiej. Członek ostatniego zarządu Oddziału PTT w Łodzi — Członek honorowy Łódzkiego Klubu Wysokogórskiego. — Autor książek o tematyce alpinistycznej.
22. Zofia Erdman — ur. ok. 1935 r. — mgr geografii, zamieszkała do końca lat pięćdziesiątych w Łodzi. — Uprawiała wspinaczkę w skałkach jurajskich i Tatrach, która stanowiła jej hobby przez szereg lat.
23. W Przypisach wykorzystano materiały, zgromadzone w następujących wydawnictwach książkowych:
    a) Zofia Radwańska Paryska, Witold Henryk Paryski — Encyklopedia Tatrzańska — Warszaszawa 1973 r.
    b) Bolesław Chwaściński — Z dziejów taternictwa — Warszawa 1979 r.

Ze wspomnień lekarza rajdowego

Jest rok 1958, jestem po studiach, mam już obydwa stopnie specjalizacji, urlop przed sobą, ale co z nim zrobić. Nasza przedwojenna grupa koleżeńska rozjechała się po całej Polsce. Hanka jest w Warszawie, Tadek we Wrocławiu, Adaś w Krakowie, Ja tu gdzieś na Mazurach. Odświeżam w pamięci nasze wycieczki w Gorce, Pieniny, Tatry. Wakacje 1938 roku i cały czas pobytu w Kowańcu z rodziną Kotulów na trwałe wpisał się do mej pamięci. Było tak uroczo, góry takie piękne. Przypominam sobie pierwszą wędrówkę po Tatrach i pierwszy nocleg w starym schronisku w Morskim Oku. Stary gazda w pięknym góralskim stroju wskazał nam miejsce na słomie i zwrócił się do chłopców: juhasi weźcie dziouchy do środka, aby im nie podwiwało". Jestem zauroczona górami, że nie mogę zasnąć. Pochrapywanie w izbie nie przeszkadza mi we wsłuchiwaniu się w cudowną ciszę górskiej nocy. Przyjaźnie patrzy na mnie twarz księżyca, przyjaźnie mrugają do mnie gwiazdy. Rano idziemy znowu w góry, jestem jednak zła, bo chciałabym zapisać się do PTT, ale nie mogę, gdyż nie mam 18 lat. Pocieszam się, że w przyszłym roku będę już dorosła i zrobię co będę chciała. Ale rok 1939 jest wrogo nastawiony nie tylko do mnie. Jest wojna. Mijają znów lata — studia, praca — praca i dalsza nauka. Teraz mam znowu chwilę czasu — co robić z urlopem? Na dyżurze rozmawiam z koleżanką, przezywamy ją „Pszczółką", która mi mówi: jedziemy z mężem w Sudety, jedź z nami, pochodzimy po górach. Dodaje jeszcze, ale z plecakami. Jadę więc razem z Chmayami. Pod koniec wędrówki wiem, że w przyszłym roku pojedziemy znowu razem w góry. Cieszę się, że mam już odznakę GOT.

Wyczytuję w gazecie, że łódzki PTTK robi rajd w Góry Świętokrzyskie. Tam jeszcze nie byłam. Znów zabrakło mi towarzyszy. Idę więc sama. Tak, pójdę sama na ten rajd. W PTTK zgłoszenia przyjmuje Krysia Hadrowicz, ale jej jeszcze bliżej nie znam. Widzę, że jest przyjaźnie nastawiona, więc się jej zwierzam, że nikogo nie znam. Na to Krysia; to pani pozna wiele osób. Rajd jest w końcu późny wieczór. Śnieg z deszczem, wieje zimny wiatr. Nie ma światła. Robi mi się smutno,

głodno ,chłodno i do domu daleko. Wysiadła grupa osób z plecakami, nikogo jednak nie znam. Wśród grupy nieco starsza ode mnie pani, pełna humoru wita się z nami. Cześć Kaziu, cześć Władziu, cześć Jasiu. Jest kierownikiem grupy. Wyczytuje moje nazwisko, nieśmiało podchodzę do Niej, mówię, że jestem na rajdzie po raz pierwszy, nikogo nie znam i proszę, by mną pokierowała. Zaopiekowała się jak najlepsza siostra, jak matka — Nela Mączewska. Ułożyła mnie na słomie tuż przy sobie, poczęstowała herbatą. Rano zaproponowała, że pójdziemy jeszcze po kolegów, którzy przyjechali późniejszym pociągiem. Nie chcę laicku", wpuszczam więc z radością komisję sobie radę, ale Nela mówi: poznacie się, jak zechcecie razem chodzić, to pochodzimy. Rzeczywiście, jak się poznaliśmy z Irką i Leszkiem Kubarskim, przechodziliśmy razem wszystkie góry od granicy zachodniej do wschodniej. Tatry Polskie i Słowackie. Oczywiście na następny rajd Łysogóry jesteśmy umówieni. Zaczynam pomagać w obsłudze trasy, czasami coś potrzeba z mojej apteczki, nie lubię się jednak ujawniać zawodowo. Wychodzimy kiedyś na trasę z kilkuminutowym opóźnieniem. Kierownik trasy czeka na nas niezadowolony, po prostu ruga nas za to. Myślę sobie, że nigdy z nim na żaden rajd, na żadną trasę z tym „paskudnym chłopem" (Zygmuntem Stachowiczem) nie pójdę. Ale teraz po tylu wspólnie przebytych rajdach umawiamy się z kol. Zygmuntem, że w Św. Katarzynie „twój pokój będzie 20, a mój 19 i czuj się zaproszony na kawę". On weryfikacja, ja lekarz rajdowy. Zawsze mamy ciekawe tematy do rozmowy, do wspomnień i jest nam miło zawsze się spotykać.

Po kilku rajdach przychodzi mi chęć bycia przodownikiem GOT. Mam już wymagane odznaki. Biorę udział w szkoleniu przodownickim. Staję do egzaminu. Komisja egzaminacyjna wyciska ze mnie wszystkie szczegóły i szczególiki wiedzy turystycznej. No, ale trzeba również zapytać o udzielanie pierwszej pomocy w wypadkach. Pytanie jest sformułowane „po laicku", wpuszczam więc z radością komisję egzaminacyjną w „maliny". Pierwszy orientuje się w sytuacji kol. Byer i pyta się ostrożnie, jaki jest mój zawód, mówię więc: chirurg. Śmiejemy się wszyscy razem. Jestem przodownikiem GOT i od tej pory będę mogła prowadzić grupy na rajdach.

Na każdym rajdzie ma miejsce jakiś wypadek, przydaje się moja podręczna apteczka i wiadomości zawodowe, przechodzę więc z czasem na lekarza rajdowego. Prawie co roku dwukrotnie wiosnę i jesień spędzam w Łysogórach. Kiedyś szykując się na kolejny tym rajdzie. Stanowczo zaprzeczyłam: o nie, już jadę na trzydziesty któryś. Siostra wymownie puka się w czoło, ja złośliwie odpowiadam, że jeden lubi ogórki, inny ogrodnika córki.

Kiedyś na rajdzie telefon, że na trasie był wypadek, coś z nogą, chłopak nie może chodzić. Jedzimy więc z Jasiem Glapskim. Istotnie jest podejrzenie złamania podudzia. Wieziemy chłopca do szpitala do Kielc. Przyjmuje sam pan ordynator urazówki, gdy zobaczył nas mówi; a to pani z łódzkiego rajdu, wita mnie jak stałą bywalczynię. Pan docent Leydo ukończył Akademię Medyczną w Łodzi, ale nie znaliśmy się na studiach. Po założeniu gipsu odwieźliśmy chłopca do św. Katarzyny, następnego dnia jest już koniec rajdu, zabieramy go do Nyski i jedzimy do Łodzi, odwozimy do domu. Rodzice oczywiście zaskoczeni, zmartwieni, ale zadowoleni. Chłopiec leczy się dalej u mnie w przychodni. Po 2—3 latach telefon do mnie, czy pamiętam Waldka, który na rajdzie złamał sobie nogę?. „Pamiętam", odpowiadam. Teraz znów mu się coś stało, czy może przyjść do mnie. „Proszę", odpowiadam. Po pewnym czasie ktoś puka do mego gabinetu, wchodzi młody mężczyzna, uśmiechem zapytuje, czy go poznaję — owszem poznaję — to Waldek. Jest mi zawsze niezmiernie miło, gdy ktoś powtórnie szuka u mnie pomocy. Zdarzało się to wielokrotnie.

Znów mamy wiosenny rajd. Szykuję więc apteczkę, swoje bagaże i mojego psa-turystę. Obładowana idę powoli po peronie na dworcu Kaliskim, nagle ktoś podbiega do mnie, wyrywa bagaże z rąk i biegnie z nimi w siną dal wzdłuż czekającego pociągu. Ach, to ten Lada C-o, czyli Czarek Lada i Janek Nowak, nasze PKP-cie, porwali moje bagaże i niosą do przedziału z nalepionym na szybie napisem „Kierownictwo Rajdu". Zanim doszłam, ułożyli mój bagaż i popędzili odprawić pociąg. W przedziale zostałam sama. Pociąg ruszył, miarowy stukot działa usypiająco, trochę drzemię. Nagle w uchylonych drzwiach pojawia się gęsta czupryna i młody chłopiec zapytuje czy mogą usiąść, jest ich trójka, chcą coś zjeść. Dziewczyna rozkłada śniadanie i skarży się, że już nie ma wody do umycia rąk. Jeden z chłopców obserwuje mnie, zwłaszcza przypiętą plakietkę z napisem „Lekarz Rajdu" i odpowiada zalotnie patrząc mi w oczy „częste mycie skraca życie". — „tak", odpowiadam — „skóra się zdziera i człowiek umiera" — salwa śmiechu.

Znajomość zawarta. Chyba przy pomocy czarodziejskiej różdżki pojawia się cały tłumek młodzieży. Jedno przez drugie ma coś do powiedzenia. Sypią się więc powiedzonka: „brudne uszy — raj dla duszy", „brudna szyja — szczęściu sprzyja", „brudne nogi — spokój błogi", „tylko wazeliniarze myją ręce i twarze". Przy każdym powiedzonku śmiech, śmiech, śmiech. Rozmawiamy na różne tematy. Czuję się z nimi jak równolatka, chociaż mego wieku starcza na 3 lub 4 młode dziewczyny. Tuszy starczy na dwie. W przedziale nie ma już wolnych miejsc, siadają sobie na kolanach. Jedzą, śmieją się, dokazują. Śniadanie skończone, resztki chcą wyrzucić przez okno. Muszę więc ich pouczyć, by byli oszczędni, bo wszystko drogo kosztuje, mówię więc — „jak się ma zmarnować lepiej zjeść i odchorować". Znów śmiech. Jedziemy jeszcze chwilę, pociąg staje na stacji — już Kielce. Ta podróż trwała chyba kilkanaście minut. Nie — to tak szybko i wesoło minął czas. Do zobaczenia w drodze powrotnej. „Tylko nie sprawiajcie kłopotu, nie chcę żadnych wypadków na trasie — upominam. Machamy sobie ręką na pożegnanie. „Baj, baj, baju — a będziecie w Raju?, ale jaskini" — pytam, bo znam przebieg ich trasy. „Taak, taak" — śmieją się i odchodzą.

W 1984 r. jedziemy z „Kosówką" do „Muflona". Jest połowa listopada. Pada pierwszy śnieg. Puszyste, białe czapy pokrywają drzewa i góry. Ja nie mam ochoty, nie — ochotę mam, — ale nie mam już siły, by z wyrypiarzami gonić po szlaku, zwłaszcza, że idą trasą mi znaną. Dla mnie już ciężką — czarnym szlakiem przez Wolarza. Namawiam więc Stasia, o którym wiem, że jest po operacji i nie powinien forsownie chodzić. Wysiłek mógłby zaszkodzić Jego zdrowiu, a nawet życiu, abyśmy wolno, spacerkiem bez szlaku pochodzili w pobliżu schroniska. Pogoda jest coraz ładniejsza, zza chmur wyziera słonko, rozjaśnia okolicę. Krajobrazy piękne. Umawiamy się, że Staś prowadzi, ja robić będę zdjęcia. Idziemy bez szlaku drogami leśnymi, rozmawiamy, idziemy, idziemy. Mija jedna godzina, potem druga, kluczymy wśród drzew, mówię więc do Stasia, że zbłądziliśmy i wkrótce dojdziemy do czeskiej granicy. Idziemy dalej, dalej. Istotnie po 30—40 minutach widzimy tablicę z napisem — „strefa nadgraniczna". Kierujemy się na wschód, znowu idziemy, idziemy. Spoglądam z niepokojem na Stasia, jak się czuje, widzę, że pobladł i jest zmęczony. Oblatuje mnie strach, co będzie, jeśli zasłabnie. Idziemy jednak stale ku wschodowi. Mówię, że wkrótce dojdziemy znów do granicy, ale radzieckiej. Stasio się śmieje i pociesza mnie. Denerwuję się coraz bardziej. Staś to spostrzega, ale przyjmuje, że gniewa się na Niego, że zbłądziliśmy. Ja jednak myślę tylko o Nim, aby się mu nic nie stało. Wreszcie spostrzegamy myśliwego. Staś z ujmującym uśmiechem podchodzi do niego, zapytuje gdzie jesteśmy. Myśliwy odpowiada „gdybyście państwo byli grupą młodzieżową, pokazałbym w przeciwnym kierunku, ale powiem prawdę — do Zieleńca macie 4 godziny drogi, do Polanicy 3 godziny". Dziękujemy i odchodzimy we wskazanym kierunku. Jest już dobrze po południu, wkrótce zapadnie zmierzch. Po pewnym czasie dochodzimy do czarnego szlaku prowadzącego na Wolarza, przez który tak nie chciałam iść, jeszcze teraz o zmroku. Ale trudno, idziemy, nie możemy sobie pozwolić na inną drogę. Boję się o Stasia, co zrobię jeśli zasłabnie. Przewiduję wszystko, co najgorsze. Staś się denerwuje, że ja się na niego gniewam, bo on źle prowadził. Niech tak myśli, to lepsze dla Niego. Idę i rozważam słowa myśliwego: „gdybyście byli grupą młodzieżową pokazałbym inny kierunek". Przed kilkoma miesiącami, też zimą, była tragedia na Pilsku, gdzie zginęło tragicznie kilku uczniów, którzy zbłądzili na trasie. Był tam również myśliwy, którego pytali o drogę, a jeśli im pokazał inny kierunek, młodzież poszła jak im wskazano, z wyczerpania nie mogli iść i zginęli? Denerwuję się tak bardzo, że nie czuję zmęczenia. Tylko co zrobię, co zrobię. Idziemy coraz wolniej, aby dalej, dalej. Wreszcie, o radości, w dali błyskają światła, dochodzimy do Muflona. Wszyscy na nas czekają i niepokoją się. Jest godzina 21, gdy po „krótkim i niemęczącym (10 godzinnym!!) spacerku" wróciliśmy do schroniska zmęczeni, ale zdrowi. I spełniły się słowa — „kto bez szlaku chodzi, późno do domu przychodzi".

Zofia Keppe

Wędrówki chochołowskie

Zaczęło się wszystko od ..... wirusa. Ania, córka Rysia Kamzurskiego nie mogła pozbyć się kaszlu i ciągłych przeziębień. I wówczas, jakiś wybitnie mądry lekarz zalecił rodzicom zmianę łódzkiego klimatu. Kamzurscy zaczęli więc rokrocznie wyjeżdżać w Tatry — na Polanę Chochołowską, gdzie mama i córka „plażowały" przed schroniskiem zaś tata brał narty i chodził w góry. Efekt — przeziębienia zniknęły, natomiast nowy bakcyl zaatakował tym razem Rysia. Bakcyl groźny, nieuleczalny i ... zaraźliwy — wysokogórska turystyka narciarska. Taka była geneza imprezy, która w tym roku obchodzić będzie swoje dziesięciolecie. „Wędrówki chochołowskie" — taka nazwa przyjęła się i ustaliła — na trwałe weszły do kalendarza imprez organizowanych przez Łódzki Klub Narciarski PTTK.

Pisząc ten „okolicznościowy" — jubileuszowy artykuł zastanawiam się co wyróżnia zainicjowane przez Rysia Kamzurskiego „Wędrówki chochołowskie" spośród innych klubowych obozów? Jakie wartości decydują o tym, że cieszą się one niesłabnącym powodzeniem, że mają swoich zagorzałych zwolenników, że stworzyły wokół siebie specyficzną atmosferę. Myślę, że obok niewątpliwych zasług Organizatorów decydującą rolę odgrywa specyfika obozu — powrót do tego czym narciarstwo było kiedyś a od czego oddala się, niestety, coraz bardziej. „Narciarstwo to sport... otwierający nam na ścieżaj zamknięte na siedem zamków lodowych wrota do gór, do hal pogrzebanych pod śniegiem, do stawów zamarzłych, do turni siwobrodych, do majestatu zimowej, tatrzańskiej pustyni. Oto ona tam blisko — rozrzuciła swe skarby hojną ręką, lśni w słońcu brylantami gwiazdek lodowych, przemawia głębokimi jak śmierć słowami milczenia i ciszy bezbrzeżnej, gra hymny potężne na klawiszach swych turni, a nie ma widzów, nie ma słuchaczy, którzyby chłonęli te czary! Na nartach, tylko na nartach można ją podejść, podsłuchać, podpatrzeć. Oto takie znaczenie ma dla nas narciarstwo". Te słowa Mariusza Zaruskiego wypowiedziane w początkach naszego wieku jakże pełne potwierdzenie znajdują właśnie na „Wędrówkach chochołowskich".

Bakcyl wysokogórskich wycieczek jest rzeczywiście zaraźliwy... Wielokrotnie uczestnicy biorąc udział pierwszy raz w „Wędrówkach" mieli przed tym obozem poważne opory. Targać narty na plecach? Męczyć się w czasie podejścia? Mieć tylko jeden zjazd — i to po trasie nie ubitej ratrakiem — często w śniegu bardzo ciężkim? A jednak nie ma chyba ani jednego uczestnika obozu, którego nie zachwyciłaby ta właśnie forma wędrowania. Przywołać można tu słowa Władysława Krygowskiego, że „aby zjechać z góry, trzeba na nią wejść na nartach. Radość zjazdu rodzi się z trudu podejścia. Kto tego nie rozumie nie rozumie ani gór ani współżycia z nimi. Czego się nie zdobywa z wysiłkiem, przemija i nie cieszy, nie zostawia wzruszeń". Mimo powtarzania tras, każde „Wędrówki chochołowskie"

Chochołowskie wędrówki — kwiecień 88 *fot. P. Szucki*

są inne. Zasługa to warunków śniegowo-atmosferycznych, zasługa to również uczestników. Mamy na swym koncie liczne osiągnięcia „sportowe" (m.in. zjazdy ze Staroroboclańskiego Wierchu — przez Cielęce Tace i ze Staroroboclańskiej Przełęczy, przejście głównej grani Tatr Zachodnich od Łopaty po Staroroboclański Wierch ze zjazdem z Raczkowej Czuby do doliny Raczkowej. Zjazd z Wołowca, zjazd Pośrednim Zlebem w Czerwonym Wierchu) — osiągnięcia ukoronowane w ubiegłym roku „zdobyciem" Bystrej) 22.IV.1988 r. P. Szucki, Cz. Cinkusz). Każde „Wędrówki" owocują zdobytymi GONami — „wykształciły" też kilku Przodowników Narciarskich PTTK. Były zjazdy we wspaniałym firnie, przy pięknej, bezchmurnej pogodzie, ale były też zamiecie, śnieżyce, mgły, była szreń i kopny, mokry śnieg. Wieczorami w schronisku znajdowaliśmy czas na długie nasze rodaków rozmowy", na śpiewy, na tańce, na „programy artystyczne" serwowane nam przez Maćka Salskiego. Było wyświetlanie przeźroczy z minionych „Wędrówek", był wspaniały odczyt Piotra Szuckiego o Tatrach Słowackich i o Karpatach Rumuńskich, była sucha zaprawa narciarska prowadzona w schroniskowej świetlicy przez Andrzeja Dąbrowskiego, było spotkanie z kierowniczką schroniska p. Pawłowską, która opowiadała o wizycie na Chochołowskiej Papieża...

Sama Polana Chochołowska też serwowała nam widoki niezapomniane. Jakże często bywało tak, że przyjeżdżając zastawaliśmy ją białą a wyjeżdżając zasłaną kobiercem krokusów. Wycieczki poszerzały naszą wiedzę o Tatrach, uczyły jazdy w trudnych warunkach, pozwalały nam na dokładniejsze poznanie samych siebie ale przede wszystkim dostarczały nam towar, który, jakże często, podlega zasadom reglamentacji — dostarczały radości i przyjemności.

W drodze na Trzydniowiański Wierch (1983) *fot. H. Czyżewska*

Na Ornaku (1983) *fot. H. Czyżewska*

Odpoczynek na Wyżniej Polanie Jarząbczej *fot. H. Czyżewska*

„Bo czyż może być dla dobrego narciarza większa przyjemność jak w wąskiej rynnie kręcić śmig po śmigu opadając w dół wężowym śladem? Albo nieporównywalny cholerycznie stromy las tatrzański, ów slalom wobec nieba, o tyczkach ze smreków, które się nie ugną gdy o nie zawadzisz!" (J. Oppenheim).

W tym „rocznicowym" artykule nie sposób nie wspomnieć o tych, których zasługą jest taki a nie inny kształt „Wędrówek". Przede wszystkim więc Rysio Kamzurski — „ojciec", kierownik i główny organizator „Wędrówek". Trudno wyobrazić sobie obóz bez obecności Henia Nadziakiewicza — „Czarnej Błyskawicy", jedynego uczestnika wszystkich dotychczasowych „Wędrówek", wielkiego autorytetu w sprawach gróskich, wspaniałego nauczyciela i propagatora narciarskiego wędrowania. Lucyna Drewniak, Marysia Mirosławska, Mirka Szczęsna, Jola Mikołajczyk, Halinka Czyżewska, Marylka i Piotrek Budner, Ania Nowakowska, Maria Graczykowska, Maciek Salski, Staszek Frąckiewicz jak również autor artykułu, Marian Szymański, Paweł Zarzycki, Krzyś Białkowski — to wielokrotni uczestnicy „Wędrówek", „kręgosłup" naszej „chochołowskiej rodziny".

Tradycją obozów stały się też wyjazdy rodzinne. Na V „Wędrówkach", mająca wtedy rok i dwa miesiące Majeczka Budner zapoczątkowała ten zwyczaj. Dziś ma już 5 lat, cztery wyjazdy za sobą i pewno niedługo „wprowadzi" na Chochołowską swoją siostrzyczkę — Joasię. Oprócz „weteranki" — Majeczki gościły na naszych obozach jeszcze inne dzieci: Ania Szucka, Halszka Dąbrowska, Michał Majewski, Asia Deloff, Marcin Sompoliński (2—4 lata). Wszystkich, którzy z przerażeniem czytają powyższy fragment pragnę uspokoić, i dzieciom i rodzicom Chochołowska służyła świetnie — wracali do Łodzi pełni wrażeń, szczęśliwi i... zdrowi!.

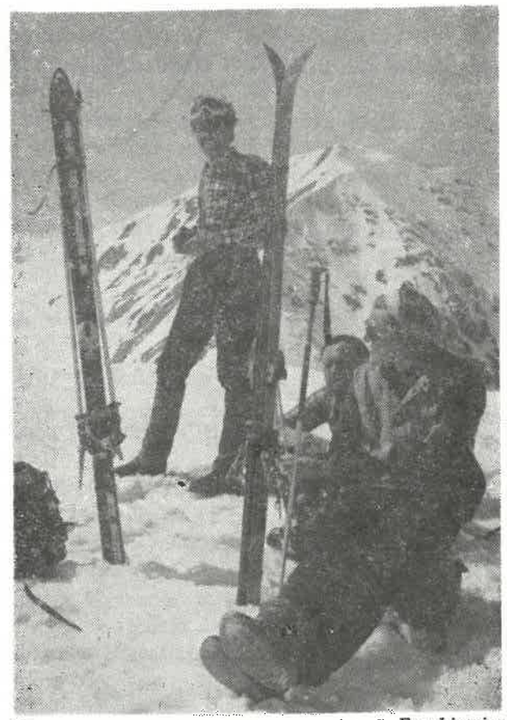

Na Łopacie — kwiecień 1988 *fot. S. Frąckiewicz*

Oprócz Łodzian gościły „Wędrówki Chochołowskie również Koleżanki i Kolegów z innych stron Polski (Katowice, Warszawa, Olsztyn) — wśród nich doskonałego narciarza, kierownika tras Rajdów Tatrzańskich — Piotra Szuckiego.

Na zakończenie wymienić trzeba Tych, którzy, niestety, nie doczekali jubileuszu. Z naszej chochołowskiej rodziny odeszli na zawsze: Hala Królikowska, Jurek Jankowski i Olek

Zbliżają się dziesiąte, jubileuszowe „Wędrówki". Mają być szczególnie uroczyste i liczne — w schronisku zarezerwowano 30 miejsc. „Dostojnemu Jubilatowi" wypada życzyć, by bakcyl, którym zaraził się Rysio Kamzurski 10 lat temu zbierał coraz obfitsze żniwo. By „Chochołowskie Wędrówki", przywołując znów słowa Zaruskiego, były nadal „środkiem dającym dostęp do źródła siły, orzeźwiającym, oczyszczającym duszę z osadu, jaki się w niej tworzy wskutek niezdrowych warunków spółczesnego życia".

Jacek Karczewski

Spis treści biuletynu „Wędrowników" za rok 1988

NR I—II (313—314)88

Jan Spychała — Krótka historia Widawy
Justyn Skowron — Dzieje osadnictwa ludzkiego w Widawie i okolicach
Akt nadania praw miejskich Widawie przez króla Władysława Jagiełłę
Janusz Kubiak — Widawa-studium historyczno-urbanistyczne
Danuta Hryniewicz — Rekonstrukcja herbu dawnego miasta Widawy
Jan T. Siciński — Widawa, woj. sieradzkie — dane ogólne, nazwy pól i lasów w okolicach
Ks. Jerzy Spychała — Kościół Św. Marcina w Widawie
Ks. Jerzy Spychała — Kościół Podwyższenia Krzyża w Widawie
Maria Starzyńska — Ks. Feliks Mikulski (1861—1933)
Teresa Głowacka — Cmentarz w Widawie
Danuta Hryniewicz — Cechy rzemieślnicze w dawnym mieście Widawie
Teresa Głowacka — Poczta widawska w kontekście dziejów poczty polskiej
Marek Sekieta — Legendy widawskie
Danuta Hryniewicz — Ochrona zabytków w Widawie
Juliusz Kotlicki — ...i będzie miastem znów

Nr III (315)88

Jerzy Urbankiewicz — Ci z Piotrkowskiej cz. III i IV
Zbigniew Piąstka — Józef Piłsudski w Łodzi
Marek Budziarek — Łódź wielowyznaniowa cz. I
Zbigniew Parafianowicz — Cichociemni na ziemi łódzkiej
J. Waszczyński — Gimnazjum i liceum C. Waszczyńskiej
Stanisław Bulkiewicz — Po 49 latach tajemnicza opaska przemówiła
Zbigniew Parafianowicz — Trasa miesiąca — Przez lasy nadleśnictwa Lubochnia
Zbigniew Lipowski — Dokąd dryfujesz turystyko szkolna
A. Tomczak — W łódzkim PTTK — wspomnienia z lat 52—58
Piotr Ciekliński — Moje wspomnienia z Tatr słowackich sprzed 31 lat
Kronika Oddziałów ZW PTTK w Łodzi
Odeszli od nas — Michał Druri
— Wacław Krawczyk

Nr IV (316)88

Jerzy Urbankiewicz — Ci z Piotrkowskiej — cz. 5, 6, 7
Anna Pilarska — Historia łódzkich muzeów — cz. I
Marek Budziarek — Łódź wielowyznaniowa — cz. II Prawosławie
Tadeusz Ciupiński — Lekcja wychowania obywatelskiego trwa...
Mirosław Jaskulski — Grób Nieznanego Żołnierza w Łodzi
Lucjan Zieliński — Formy i miejsca upamiętnienia szlaku bojowego Armii „Łódź"
Stanisław Bulkiewicz — Nieznane bony papierowe z Sulejowa
Andrzej Gawroński — O łódzkiej bibliografii 1970—1980
Artemiusz Wołczyk — Figura Matki Boskiej w Bodzentynie
Lechosław Fularski — Spotkamy się na Zlocie 35-lecia „Kosówki"
Kronika Oddziałów PTTK w Pabianicach i Akademickiego

Nr V (317)88

Jerzy Urbankiewicz — Ci z Piotrkowskiej — cz. 8
Anna Pilarska — Historia łódzkich muzeów — cz. II
Ks. Stefan Moczkowski — Kościół p.w. Dobrego Pasterza w Łodzi
Stanisław Bulkiewicz — Łódzki zastępczy pieniądz wojskowy
Bożena Krzemińska — Antoni Stanisław Więckowski — łódzki lekarz i społecznik
Zbigniew Parafianowicz — Trasa miesiąca — Przez trzy lasy
Jerzy Dukowicz — W XX-lecie śmierci Mariana Wnuka

Artemiusz Wołczyk — Krzyż na szczycie Łysicy

— Kamień Żeromskiego u podnóża Łysicy

Jerzy Świerczyński — Bazy namiotowe Oddziału Akademickiego PTTK w Łodzi

Nr VI (318)88

Tadeusz Piekarek — Działalność Oddziału PTTK im. Kazimierza Staszewskiego w Pabianicach w okresie między jubileuszami

Maria Kepler — Muzeum Miasta Pabianic

Pabianickie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Bojowników Rewolucji 1905 r. „PAMOTEX"

Leszek Ramisz — Parki publiczne i tereny zielone w Pabianicach

Włodzimierz Durajski — Moje początki w Oddziale PTTK w Pabianicach

Zenobiusz Kołodziejczyk — Najstarsze koła

Wanda Kołodziejczyk — Komisja Młodzieżowa

Bogusław Welfel — Wychowawca młodych turystów

Włodzimierz Durajski — Senior turystów-kolarzy

Włodzimierz Durajski — Jan Brzoza

Zbigniew Piąstka — „Filip" i „Radwan"

Spis treści rocznik 1987 Biuletynu PTTK „WĘDROWNIK"

Chochołowskie wędrówki 1985 *fot. P. Szucki*

ZDZ Łódź — zam. 21/1/89 — n. 1200 egz.